

d r u h

W a c ł a w

Milke





Wydawca: Stowarzyszenie Przyjaciół Harcerskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka”

Fotografie: Zbiory Archiwalne Rodziny Milke

Skład, łamanie,
druk i oprawa: STUDIO Jeden s.c. 09-400 Płock, ul Bielska 61/1, tel. 24 268 24 41

Copyright © Stowarzyszenie Przyjaciół Harcerskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka”

ISBN 83-906023-4-2

Nakład 100 szt.



Płyta sfinansowana z udziałem środków Urzędu Miasta Płocka w ramach zadania publicznego Druh Waclaw Milke - pośmiertna autobiografia.



Stowarzyszenie Przyjaciół Harcerskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka” składa szczególne podziękowania za pomoc w realizacji książki Ośrodkowi KARTA, Dyrekcji i Pracownikom Domu Spotkań z Historią, Pani Katarzynie Madoń-Mitzner, Pani Zofii Wieluńskiej oraz Panu Piotrowi Filipkowskiemu.



Nagranie zrealizowane zostało w 2002 roku przez Ośrodek KARTA w ramach projektu Mauthausen Survivors Documentation Project (MSDP). Celem projektu było zebranie relacji osób, które w czasie II wojny światowej były więzione na terenie Austrii w hitlerowskich obozach koncentracyjnych systemu Mauthausen-Gusen. Cały zbiór nagranych relacji stał się częścią Archiwum Miejsca Pamięci Obozu Mauthausen i jest wykorzystywany do badań historycznych. W Ośrodku KARTA utworzono specjalną kolekcję, w której obok kopii wszystkich nagranych w Polsce relacji świadków zarchiwizowane są także niepublikowane dotąd wspomnienia, dokumenty, fotografie archiwalne. Relacje więźniów ukazały się drukiem w książce rozpoczynającej serię „Historia Mówiona” zatytułowanej „Ocaleni z Mauthausen” pod redakcją Katarzyny Madoń-Mitzner.

PRZEDMOWA

Książka, którą oddajemy do rąk Czytelnika, jest pozycją szczególną wśród dotychczasowych publikacji dotyczących Druha Wacława Milke. Jest to bowiem opracowanie jedyne istniejącego wywiadu autobiograficznego, zrealizowanego w 2002 roku przez Ośrodek KARTA w ramach projektu „Ocaleni z Mauthausen”. O swoim życiu opowiada tu sam Druh Wacław. Dzięki temu możemy poznać cechy jego osobowości, sytuacje, które w sposób szczególny wpłynęły na jego tożsamość, oraz świat, jakim On go postrzegał.

W setną rocznicę urodzin Druha zdecydowaliśmy się opublikować sto egzemplarzy autobiografii, która za pośrednictwem szkół oraz placówek edukacji i kultury trafi do możliwie szerokiego grona odbiorców. Publikacja ta, dostępna również w formie e-booka oraz audiobooka w internecie, z pewnością przybliży młodym czytelnikom postać założyciela Harcerskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka”.

Wacław Milke, człowiek powszechnie znany w Płocku, wkrótce po śmierci został uhonorowany pomnikiem-taweczką, tablicami upamiętniającymi jego działalność, stał się patronem szkoły i założonego przez siebie zespołu. Powstał już album „Druh – piękne życie Wacława Milke” oraz publikacje zawierające wspomnienia wielu spośród „Dzieci Płocka” o ich wychowawcy. Można zatem zadać pytanie: Jaki jest cel kolejnej publikacji, co nowego wniesie ona do dotychczas istniejących opracowań i co mogą znaleźć w niej dla siebie młodzi ludzie?

Wszystkie istniejące dowody pamięci często mają charakter wartościujący, kreują swoisty mit Druha Wacława. O unikatowej wartości tej publikacji świadczy fakt, że tym razem podjęto próbę ocalenia od zapomnienia jego własnej wizji świata – może nieco idealistycznej, przepełnionej nadmiernym

optymizmem i nadzieją, jednak skutecznie inspirującej do pozytywnego działania innych ludzi. Ponieważ mimo trudnej, a nierzadko drastycznej, tematyki publikacja skierowana jest głównie do ludzi młodych, zdecydowaliśmy się na wydanie jej w nowoczesnej formie, co pozwoli na łatwy do niej dostęp dzięki wykorzystaniu istniejących urządzeń multimedialnych.

Prezentowany tekst jest opracowaniem wywiadu, który dołączony zostaje w postaci oryginalnego nagrania audio. Jest to świadectwo kształtowania się tożsamości i systemu wartości człowieka, często w warunkach nie-ludzkich, niewolniczej pracy połączonej z przemocą i stałym zagrożeniem życia. Jest to świadectwo pamięci i próba zapamiętania Druha takim, jakim był naprawdę, bez idealizowania i zbędnych laudacji. Jest to opowieść, która ukazuje jego życie od lat dzieciennych aż po sędziwą starość. Wierzymy, że będzie to ważna lektura dla Czytelników.

DOM RODZINNY, DZIECIŃSTWO

Nazywam się Wacław Milke, urodziłem się w Wyszogrodzie, w powiecie plockim, czternastego czerwca 1914 roku. Mam już osiemdziesiąt osiem lat¹.



Ojciec prowadził zakład rzemieślniczy. Jakiś czas pracował na wodzie, to znaczy jako strażnik wodny. Kochał nas bardzo. Mama była przy domu. Kochana, złota mama, starała się nas jak najlepiej wychować. Nie wolno było skłamać, a że chciała, żebyśmy zawsze byli na całym nabożeństwie, to zawsze jak przyszliśmy z kościoła, pytała, co ksiądz mówił na ambonie. Sama chodziła często na inną godzinę, bo musiała przygotować obiad. I je-

1 Wspomnienia zostały nagrane 15 czerwca 2002 roku w Płocku.

żeli zgadzało się u wszystkich braci, to była z nas zadowolona. To są proste, śmieszne rzeczy, ale starała się wychować nas na ludzi. Było nas czterech braci, ja byłem najmłodszy, w samą wojnę się urodziłem. Żadnego majątku nie mieliśmy, tak że moje dzieciństwo było dosyć trudne.

Miałem dwanaście lat, jak wstąpiłem do harcerstwa. Kiedy skończyłem czternaście lat, drużynowy uznał, że mogę złożyć Przyrzeczenie Harcerskie. Poszedłem do mamy, mówię: - *Jestem dopuszczony do Przyrzeczenia! Czy mogę złożyć?* Mama mówi: - *Złożyć łatwo, ale postępować według Prawa Harcerskiego jest trudniej. Sam decyduj. Ja będę się cieszyła.* Podziękowałem mamie. Przyrzeczenie odbierał od nas kapelan w kościele w Wyszogrodzie. Pełno ludzi, mama też była. Nas było kilku, dwa palce podniesione: *Mam szczerą wolę całym życiem pełnić służbę Bogu i Ojczyźnie; nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym Prawu Harcerskiemu.* Całym życiem... Przecież wiedziałem, co robię, miałem czternaście lat. Dzisiaj, mając osiemdziesiąt osiem lat, zawsze postępuję po harcersku. Staram się, bo błędy człowiek też robi. Błądzą nieraz, staram się błąd poprawić, ale mam cel. Upadnę - muszę się podnieść. I jeszcze nigdy nie zapaliłem papierosa.

Ojciec ciężko chorował po pierwszej wojnie. Wcześniej mi umarł. Miałem wtedy czternaście lat. Warunki mieliśmy bardzo trudne. Po śmierci ojca zwłaszcza ciężko nam było. Bracia musieli iść do pracy. Najstarszy pracował w magistracie jako sekretarz, drugi brat poszedł do zawodu piekarskiego, trzeci poszedł do wojska, do marynarki wojennej. Tak żeśmy powoli, powoli dochodzili do siebie. Kochaliśmy bardzo matkę swoją, matka nas kochała. To co ona powiedziała, było święte.

W Gąbinie nie mieliśmy zatargów z mniejszościami. Żydzi mieli swoją organizację młodzieżową, przychodzili też na nasze imprezy. Do szkoły podstawowej w Wyszogrodzie chodziliśmy razem z młodzieżą żydowską. Miałem wśród nich kolegów, przyjaciół. Nieraz, pamiętam, spotykali się chłopcy,

byliśmy w jakiejś restauracji, to tacy postępowi przyszli po kryjomu², żeby nikt nie widział i szyneczki zjadł, bo to przecież nie wolno im było takich rzeczy. To, co w tej chwili się mówi o antysemityzmie, to nieprawda. Nie było zadarcia takiego, żebyśmy w nienawiści żyli. Nie było takiej rzeczy. Może gdzieś tam.

To było po tej strasznej niewoli, po pierwszej wojnie. Przecież myśmy przez dwadzieścia międzywojennych lat dużo zrobili. Bo coraz więcej fabryk, coraz więcej sklepów polskich, coraz więcej zaczynało się, ale wszystko poszło w ruinę. Gdyby nie ta wojna 1939, to bylibyśmy bardzo bogatym państwem. Nie gardzono wtedy biedniejszymi. Na przykład były bale Sokoła. To były bale inteligencji – dwory, bogaci przychodzili. Ale mógł na bal pójść i biedny chłopak, tylko musiał się postarać o garnitur czarny i swoim wyglądem, swoim zachowaniem się dostosować. Nie miał ubrania odpowiedniego, to od kolegi wypożyczył. Inteligencja te niższe sfery starała się podnosić w górę. Mogły być gdzieś wybryki, to zawsze było, ale ogólna tendencja po wojnie była taka: oni nie mają możliwości się kształcić, ale nie wolno nimi gardzić. Na przykład wymowa. Człowiek starał się wypowiedzieć poprawnie, jak nie wiedział, to zapytał, chciał być w tym towarzystwie, dorównać w dyskusji, czego nie ma dzisiaj.

Po ukończeniu szkoły nie miałem możliwości iść do gimnazjum, więc uczyłem się zaocznie. Po złożeniu egzaminów otrzymałem pracę w sądzie grodzkim w Gąbinie. Byłem kancelistą, to znaczy zastępcą sekretarza. Na sprawach sądowych się siedziało, pisałem protokoły. Bracia mieli już swoje rodziny. Tak że ja tylko byłem z matką. Kiedy dostałem pracę w sądzie, matka była przy mnie.

2 Religijni żydzi nie mogą jeść wieprzowiny.

Przed wojną prowadziłem już własną drużynę harcerską w Gąbinie. Myśmy w harcerstwie polityką się nie zajmowali. Dla młodzieży przyjskie jakiegoś weterana wojny na spotkanie, to było przeżycie nie z tej ziemi. Dzieci z różnych domów mieliśmy i z prawicowych, i z lewicowych. W wolnym czasie prowadziłem nie tylko harcerstwo. Był zespół taneczny w Wyszogrodzie, prowadziłem go. Te zapusty, które ja robiłem po wojnie z młodzieżą, to tam były autentyczne w Gąbinie, zrobione w trzydziestym dziewiątym roku na zakończenie karnawału. Myśmy z teatru w Łodzi za dwa złote wypożyczyli ze sto pięćdziesiąt kostiumów – różne fraki, kontusze, suknie. I był w remizie w Gąbinie cudowny bal. Sala była pięknie udekorowana, ludzie z domów przynosili dywany. Ludziom się chciało. Dzisiaj to na gotowe przyjdź, gotowe zrób, a wtedy ze dwie noce dekorowaliśmy salę. Goście wolantami, bryczkami zajeżdżali, w kostiumach. Małe miasteczko! Jak się zaczynało, to wyszedł gospodarz, mówi: – *Poloneza czas zacząć, Podkomorzy rusza, z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza...* Idzie pani Telimena – jedna z gospodyń. To był teatr! Do jedenastej w niedzielę trwał bal. Do kościoła czas, a oni nie chcieli jeszcze wyjść z remizy. Aż ksiądz krzyczał. Ludzie przenieśli się w inny zupełnie świat, świat fantazji. To się do końca życia pamięta.

WYBUCH WOJNY, ARESZTOWANIE

W Gąbinie w trzydziestym dziewiątym roku zastała mnie wojna. Na początku, zaraz w pierwszych dniach, zostaliśmy ewakuowani z sądem do Garwolina. Tam okrążyły nas wojska niemieckie i po dwóch tygodniach wróciłem do Gąbina. Mieszkanie moje już było zajęte, nie miałem gdzie mieszkać, ale dostałem pomieszczenie u znajomych. W listopadzie od jednej z koleżanek, która pracowała w urzędzie miasta, otrzymałem wiadomość, że muszę się ukrywać, gdyż prawdopodobnie będą aresztowania. Niemcy, jak weszli, to już mieli gotowych nas na listach. W Dobrzykowie, to taka wioska, u gospodarzy Swatów zamieszkałem. Pierwsze aresztowania³, z okazji zbliżającego się święta 11 Listopada, ominęły mnie dzięki temu.

Z trzynastego na czternastego kwietnia w czterdziestym roku, poszedłem odwiedzić matkę, która mieszkała samotna. Lasami, po kryjomu, do niej szedłem. Zimno było, grad padał, mama mówi: – *Cisza, nic nie słysząc, rano pójdziesz, gdzie teraz iść, taka zimna noc, przeżyjesz się jeszcze*. No i tą noc spałem u mamy. Ktoś zauważył, w pół do pierwszej chyba było, jak przyszli i mnie zabrali. Zostałem aresztowany, osadzony w Domu Strażaka. Było tam już więcej osób. Czternastego rano przewieziono nas samochodami ciężarowymi do Gostynina, następnie Konin i pierwszy obóz Szczeglin, taki przejściowy.

Kiedy mnie aresztowano, matka biedna została wysiedlona i poszła mieszkać do brata do Czerwińska. Kiedy po wojnie wróciłem z obozu, no to już była przy mnie do końca.

3 Chodzi o akcję aresztowań osób zaangażowanych w działalność społeczną, patriotyczną, inteligencji, tzw. *Intelligenzaktion*; Wacław Milke znalazł się na liście osób do zaaresztowania jako „Polak, przywódca młodzieży harcerekiej”.

OBÓZ PRZEJŚCIOWY W SZCZEGLINIE

Spisywano nas, staliśmy jeden za drugim, tak jak transporty przyszły. Tłumaczką była Niemka polskiego pochodzenia, a może Polka, która znała język niemiecki, chyba volksdeutschka. Ten, co mnie badał pyta: - *Wie heißt du?* [jak się nazywasz]. Mówię: - *Milke Wenzel*⁴. - *Bist du Volksdeutsche?* Ja mówię: - *Nein, ich bin Pole.* - *Bist du polnisch? Polnisch ist* Ojczenasz - mówi. - *Milke ist niemieckie nazwisko, ty jesteś Niemcem.* Ja mówię: - *Jestem Polakiem!* Do dziś nie wiem, skąd jest to nazwisko. Dziadek, pradziadek, wszystko Polacy, katolicy. On znowu: - *Wie heißt du? - Milke Wenzel.* - *Bist du Volksdeutsch? - Nein. Ich bin Pole!* - *Bist du Pole?* - i w zęby! Tłumaczka mnie uratowała: młoda, ja byłem młody, widocznie się zlitowała nade mną, bo kiedy trzeci raz pytał mnie, to ona do niego po niemiecku, że prędzej, prędzej, tyle jest osób... I on wtedy mnie wyrzucił. Zawdzięczam jej bardzo dużo, bo rzeczywiście mógłby mnie skatować.

Warunki były ogromnie trudne. Był to jakiś folwark⁵. Umieszczono nas w oborach, chlewach, na poddaszu, była nas coraz większa grupa, bo z różnych okolic codziennie przywożono. Tam byli aresztowani z kilku powiatów. Chyba ze trzysta, czterysta osób. Było to piekło. Bicie, skakanie przez jakiś

4 *Wenzel* - niem. Wacław.

5 Na temat obozu w Szczeglinie nie zachowały się żadne oryginalne dokumenty niemieckie. Cała wiedza o nim pochodzi z zeznań świadków złożonych po wojnie. Szczeglin funkcjonował jako przejściowy obóz dla internowanych przez operacyjne grupy policji bezpieczeństwa w akcji „inteligencja” oraz polskich rodzin wysiedlonych z Pomorza. Po opuszczeniu obozu przez internowanych i wysiedleńców założono tam na początku kwietnia 1940 przejściowy obóz karno-izolacyjny. W stajniach i oborach majątku ziemskiego więziono od tego czasu ok. cztery tys. więźniów, w większości deportowanych następnie do obozów koncentracyjnych. Wiele osób rozstrzelano na miejscu.

płotek czy nie płotek. To było takie pastwienie się nad nami, żeby człowiek wciąż się bał. Przygotowanie do obozu koncentracyjnego. Ogromny strach i upodlenie. Na przykład druty kolczaste były rozrzucone po placu i w pewnym momencie: – *Padnij! Powstań! Padnij! Powstań!* Już przy drugiej komendzie i ubranie podarte, i ręce poranione.

Nigdy nie zapomnę, jak pewnej nocy – chyba trzecia – myśmy spali na strychu starych chlewów i kolega, który był ze mną razem aresztowany, Jankowski, źle się poczuł i powiedział, że musi wyjść. Mówimy, że przecież nie wolno, tu jest kubeł do załatwiania się. – *Ale ja muszę, naprawdę źle się czuję.* Gdy wychodził, skrzypnęły drzwi, posypały się od razu strzały, krzyki. Za chwilę wpadli gestapowcy i pytają się, kto chciał uciekać? On zląkł się i z powrotem przybiegł do miejsca, gdzieśmy na słomie leżeli. Więzień, który stał przy drzwiach, wskazał gestapowcom, że z tego końca ktoś wychodził. Wpadli do nas i po niemiecku krzyczą: – *Kto chciał uciekać? Kto chciał wychodzić?* Kolega się przeląkł, nie mówi nic. I wtedy oni policzyli: – *Eins, zwei, drei, vier, fünf, sechs – raus!* Był w tej szóstce Lewandowski, byłem ja, no jeszcze koledzy: Lenzion i inni. Wyprowadzili nas na podwórko... karabin maszynowy wystawiony... Mieliśmy być wszyscy rozstrzelani. W ostatniej sekundzie Jankowski pada na kolana i krzyczy, że to on wychodził, nie chciał uciekać, ale musiał się załatwić, bo się źle poczuł. Wtedy oni powiedzieli: – *Diese fünf zurück schlafen* [tych pięciu z powrotem spać]. Jego rozstrzelali. Byłem tak strasznie zdenerwowany, że podrzucało mnie dosłownie. Nie tylko ja, wszyscyśmy byli... Na następny dzień dachówka spadła z dachu, bo był silny wiatr. Podejrzewali ucieczkę, wpadli i ponieważ nikt się nie przyznawał, bo nikt nie uciekał, od drzwi odliczyli sześciu i rozstrzelali. Koledzy na placu mówili, że to chyba cud, że nam pięciu wtedy kazano się wrócić.

OBÓZ KONCENTRACYJNY W DACHAU

W końcu kwietnia wszystkich nas zapędzili do bydłych wagonów, całe zamknięte, tylko takie małe okienka były. Dostaliśmy kawałek chleba na drogę, no i potem otworzyli nas dopiero w Dachau. Na stacji kolejowej psy, esesmani, krzyk, rwetes. Kiedyśmy szli ulicami miasta, ludzie wyglądali na nas przez okna. Nie wiedzieliśmy w ogóle, gdzie jesteśmy, gdzie idziemy. Dopiero kiedy zobaczyłem napis „Dachau”, ludzi w pasiakach... Był początek maja.

Tam się zaczęła gehenna mojego pobytu w obozie koncentracyjnym. Pierwsze wrażenie było okropne. Widzę jak dzisiaj – ludzie zaprzęgnięci do takich ogromnych wałów z metalu do ubijania ulic. Tego nie zapomnę nigdy. Byliśmy jeszcze w cywilnych ubraniach, wszystko trzeba było oddać, nago wyjść. Strzyżenie, golenie, mycie, no i to więzienne ubranie, pasiak z numerem. Dawali numer – i jest się w innym świecie. To trudno opowiedzieć, kiedy człowiek wyrwany z wolności widzi piekło, ludzi chodzących z nahajami, kijami. W Dachau – ogromna dyscyplina. Rygor nie z tej ziemi. My, z tego transportu ze Szczeglina, rozproszeni byliśmy po różnych komandach. Ja pracowałem w *Gärtnerkommando*, woziliśmy ziemię, rozsypywaliśmy i takie ogródki robiliśmy. Jak nie pracowaliśmy, to musieliśmy siedzieć na placu i nieraz śpiewać godzinami: *Tirol, Tirol, Tirol du bist mein Heimatland*, cały czas jakieś pieśni. Uczyliśmy się niemieckiego. Albo śłanie łóżka – troszenieńkę się poszło inaczej, krzywo, a już wszystko rozwalone, już gonitwa. Takie metody, żeby wzbudzić strach, zabić godność, myślenie. Wszystko po to, żeby psychicznie wykończyć.

W sierpniu wyczytano nas z listy i wysłano takimi samymi wagonami. Znów nie widzieliśmy, gdzie jedziemy. Cieszyliśmy się, że może będzie lepiej. Były plotki, że jedziemy na roboty, na wieś do gospodarzy.

MAUTHAUSEN-GUSEN

Podróż była straszna. Wreszcie znaleźliśmy się w Mauthausen, na dworcu. Tam na stacji nas ustawili w czwórki i dwa czy trzy kilometry pogнали biegiem do obozu Gusen⁶. W Dachau nas nie bito, kiedyśmy wchodzili. A kiedyśmy przyjechali do Mauthausen-Gusen, to od razu nas goniono i ten lęk. Gdzie my jesteśmy? Najpierw nas trzymano, niby to kwarantanna była, ale to nie była kwarantanna. Myśmy tam akurat trafili, jak ktoś uciekł dwa dni przed naszym przyjazdem, złapali go i strasznie wszystkich... Nie dostali jeść ci wszyscy więźniowie. Myśmy dostali zupy, to oni błagali – żeby chociaż troszkę im dać. Kiedy dowiedzieliśmy się, jak z nimi postępowali, to jeszcze bardziej nas przygnębiło. A potem, jak zobaczyliśmy kamieniołomy...

Po przybyciu do Gusen pasiaki mieliśmy te same, tylko nowe numery nam dali. Każdy sam musiał sobie stare zedrzeć, dostaliśmy kilka igieł na sztubę⁷, nici i jak jeden skończył, to drugi mógł przyszywać. W Gusen byłem kolejno na trzech blokach⁸. Najdłużej w dziewiątce, blok numer dziewięć. Na każdym bloku znajdowali się też muzułmanie⁹, więźniowie, którzy już byli całkowicie wycieńczeni. A kiedy ktoś był już pełnym muzułmanem,

6 Mauthausen-Gusen to cały zespół obozów: Mauthausen, Gusen I, Gusen II i Gusen III oraz liczne podobozy. Został założony latem 1938 (po anszlusie Austrii) ok. 20 km od Linzu, od wiosny 1940 powiększony o Gusen I i Gusen II funkcjonujące przy zakładach zbrojeniowych.

7 Sztuba – z niem. pokój, izba.

8 Blok – z niem. barak mieszkalny dla więźniów, stanowiący jednostkę administracyjną obozu.

9 Muzułman – od niem. *Muselman*, więzień w stanie ostatecznego wyniszczenia pracą i głodem, całkowicie wyczerpany także psychicznie, bez woli życia; gamel, krypel, łachmyta, łajza.

to na wykończenie wysyłali do takiego bloku... Muzułmanem mógł się stać zupełnie każdy, bo na przykład go stłukli strasznie, odbili nerki i nawet ze zdrowego można było nim być za dwie godziny.

W tym obozie przebywałem pięć lat [od sierpnia 1940 do wyzwolenia w maju 1945]. Z grupy ośmiu tysięcy, która nas w tym roku przybyła, zostało nas sto osiem osób.

PRACA

Miałem cztery komanda¹⁰: *Lagerkommando*, potem *Kohlträger*, to znaczy noszenie węgla, potem *Kastelhöfen*¹¹ – kamienie, i *Barackenbau*. W *Kohlträger* pracowałem niedługo, najdłużej byłem w *Barackenbau*. To się nazywało budowanie baraków, ale to było budowanie całego obozu, tych różnych sztolni, reperacje, to wszystko. Tam była i stolarnia, i ciesielskie roboty, różne.

Pierwsza moja praca to *Lagerkommando*: ubijało się ulice, przy ziemi się pracowało, bo podobnie ten obóz dopiero robiony był¹². Przy barakach się robiło. Takie różne obozowe. Jeżeli kapo był człowiekiem możliwym, to była lżejsza praca, ale oni się zmieniali. Polacy są różni i Niemcy są różni. Myśmy mieli przecież niektórych kapo takich drani, Polaków. Niedużo ich było, ale byli też tacy. I Czesi byli dranie. W każdym narodzie spotkać można człowieka i człowieka.

Następnie były kamieniołomy, noszenie kamieni. To jest trudne do opowiedzenia. Tysiące nas nosiło na plecach kamienie. Nie na nosilkach, w rękach. Jak był mniejszy kamień, to jeszcze, ale jak był ciężar, to Boże złoty! A najgorzej, jak czasami pogonili, to szybko trzeba było biec, a jak za mały kamień gestapo¹³ zauważył, to tak dał, że człowiek nie mógł się podnieść. Ja

10 Komando – zgrupowanie więźniów na czas pracy w drużynę roboczą, liczyło od kilkudziesięciu osób do kilku tysięcy, zależnie od rodzaju pracy.

11 *Kastenhofen* – nazwa kamieniołomu, w którym Wacław Milke pracował jako *Steinträger* – tragarz kamieni.

12 Obóz Gusen I zaczęto budować w marcu 1940 roku.

13 Prawdopodobnie przejęzyczenie, załogę obozów koncentracyjnych stanowili esesmani.

krótko tam pracowałem. Najgorsza była praca w tak zwanym młynie, gdzie kruszyło się kamienie. Bez przerwy trzeba było chodzić, bo koła to obracały. To było piekło, tam tylko raz byłem.

Nie zapomnę nigdy takiej sceny. Przyszedł do obozu nowy transport więźniów i trzeba było znaleźć miejsca. Wtedy kapo, esesmani uzbrojeni w kije, dosłownie urządzili piekło: bito i goniono nas. Ja już nie miałem siły i powiedziałem: niech co chce się dzieje. Wpadłem do bloku i krzychałem: – *Panie blokowy, niech pan mnie ratuje!* Dobry był ten blokowy, dał mi coś do zrobienia, jakiś garnek, coś takiego miałem szorować. Na szczęście uratowałem się. Cała masa była wtedy zabitych.

W grudniu skaleczyłem rękę, poszedłem na rewir, a miałem tam dobrego przyjaciela, którego zapoznałem w Szczeglinie – Maryś Bochat, lekarz, ale wtedy był pielęgniarzem do pomocy. Opatrzył mi rękę, otrzymałem zwolnienie na trzy dni. Maryś organizował mi nowe opatrunki, owijał mi tą rękę. A kto miał dobry opatrunek, to mógł mieć następne zwolnienia. Kiedy już było zagojone, Maryś mówi: – *Słuchaj, nie będę ci dawał już opatrunków, bo jak wyjdzie, to i ja wpadnę, i ty.* Musiałem iść do pracy. Jeszcze nie miałem przydzielonego komanda. Po apelu porannym, kiedy się formowały komanda, gdzie ludzie mają iść do roboty, patrzę: jest takie nieduże. I stanąłem też. Przychodzi kapo i pyta się: – *Was ist los?* [Co się dzieje?]. Mówię, że byłem chory i szukam komanda. – *No, masz szczęście, bo potrzebuję.* To było *Kohlträger*, noszenie węgla. Kiedyśmy przyszli do roboty, dał mi wózek z węglem. Wziąłem i omal się nie przewróciłem, bo nie miałem możliwości poradzić. On mówi do mnie, że jestem słaby, a ja: – *Nie, ja jestem silny!* A ledwo na nogach się trzymałem. On się uśmiechnął i mówi: – *Bist du stark?* [Jesteś silny?]. Ja mówię: – *Jawohl!* Widocznie dobrym był człowiekiem, bo zwrócił się do drugiego więźnia, Piotrka Naruszewicza, który też nosił węgiel: – *Peter, będziesz nosił wspólnie z tym nowym.* Nosiliśmy na tragach we dwóch, już było łatwiej. Pamiętam, kiedyśmy szli do lagru, Piotrek – to

był kleryk, bardzo wartościowy człowiek – przedstawił się. To był później mój wierny, serdeczny przyjaciel do końca obozu.

Węgiel nosiliśmy tylko do wiosny. Kiedy się zrobiło ciepło, już nie potrzeba było. I znów strach, gdzie człowiek będzie pracował. Zwróciłem się do mego przyjaciela Marysia, który wtedy pracował w biurze *Barackenbau* i mówię: – *Maryś, ja będę bez pracy znów, pomóż mi.* A on mówi: – *Tu jest komando budowy baraków, gdzie jest stolarnia, różne budowy wykonują, może dostaniesz się do roboty. Porozmawiam z kapo, który jest szefem tego.* Na drugi dzień Maryś przychodzi do mnie, mówi: – *On potrzebuje stolarza, powiedz w razie czego, że jesteś stolarzem. Kazał ci przyjść.* Na drugi dzień staję do tego komanda. – *Bist du Tischler?* [Jesteś stolarzem?]. – *Ja-wohl!* Poszliśmy do warsztatów, dał mi hebel i kazał deskę heblować. Ja z wrażenia odwrotnie ten hebel wzięłem. On się uśmiechnął, pyta: – *Bist du Tischler?* Nic nie powiedziałem, opuściłem głowę. Znów zapytał: – *Bist du Tischler?* I znów nie odpowiedziałem. Dobry był ten kapo, naprawdę dobry. Bardzo dużo potem mi pomógł. On mi powiedział tak: – *Będziesz pracował u mnie w magazynie przy wydawaniu narzędzi.* I to mi uratowało życie, że już i pod dachem, i nie goniony pracowałem. Pracę miałem bardzo lekką. Nasz kochany kapo coś tam robił na czarno, organizował coś esesmanom, dostawał papierosy. Wtajemniczył mnie w swoje takie różne. Kiedyś coś tam trzeba było zrobić, no i mi wtedy powiedział: – *Słuchaj, tutaj masz zapas, tam papierosów, nie papierosów, tego nikt nie może znaleźć. A gdyby coś, to ty o niczym nie wiesz.*

Ksiądz Gruber¹⁴, który był w tym spisku, wiem na pewno, że on z kapo Kernem coś tam załatwiał przez jednego pana inżyniera, który przychodził do nas, a on tam pracował. Pewnego razu, kiedy przyszedł, pyta się: – *Wo ist Kern? Gdzie jest mój kapo?* Okazuje się, on był w tajnej austriackiej organizacji. Pewnego razu przynosi i daje mi paczkę z jedzeniem i mówi, że to jest od córki jego. Ja mówię, że mi nie wolno. – *Nie bój się.* Ale ja się bałem. Dopiero jak kapo przyszedł (ja kapo naturalnie dałem z tej paczki), mówi, żeby się nie przejmować. A za trzy dni już go aresztowali, już stał przy bramie ten inżynier. A potem księdza Grubera zgładzili. Co z tym inżynierem, nie wiem.

Pamiętam, to chyba był listopad. Nasze komando *Barackenbau* było nie-daleko od komanda królikarzy (hodowali króliki angorskie) i psiarni esesmańskich. Kiedy psy szły na ćwiczenia, tam można było przedostać się, więc człowiek podkradał się i to, co psy nie zjadły, z tych korytek wyjadał... Nie zapomnę nigdy ten pierwszy raz, jak mi kolega mówił: – *Wpadnij do mnie, to tam... takie czyste korytka białe.* Oni specjalnie więcej kładli psom tego jedzenia. Kiedy brałem pierwszy raz je tak ręką, a – pamiętam jak dzisiaj – był pęczak, przypomniały mi się słowa mojej matki. Już po śmierci ojca ciężko nam było i kiedyś na kolację miałem suchy chleb i kawę gorzką, no i ja powiedziałem: – *Nie będę jadł!* A mama mówi: – *Mój drogi, no przecież gdybym miała – wiesz, że jest ciężko – to bym ci dała!* Trochę się zdenerwowała i powiedziała: – *Nie narzekaj, żeby czasami w życiu i tego suchego chleba ci nie brakowało.* I kiedy brałem to jedzenie psie, jakbym słyszał głos matki. Łzy mi stanęły w oczach,

14 Dr Johann Gruber z Linzu, ksiądz katolicki i nauczyciel, więzień Gusen od 1940, zwany Papa Gruber lub Święty z Gusen; ciesząc się pewną swobodą w porównaniu z przeciętnymi więźniami, gromadził na dużą skalę środki materialne (m.in. dzięki nielegalnym transakcjom z wybranymi esesmanami), które przeznaczał na pomoc dla głodujących i chorych współwięźniów. Przekazał poza granice III Rzeszy *Białą księgę*, zawierającą dane o nieludzkich warunkach życia w Mauthausen-Gusen; po zdemaskowaniu przez gestapo, w marcu 1944 r. osadzono go na kilka tygodni w karcerze, a następnie zamordowano 7 kwietnia.

jak groch leciały, myślałem, że się uduszę od szlochu. Okazuje się, że chleba mi brakuje i jem to, co psy nie wyjadły. Ale przełamałem się, zjadłem i resztę jeszcze wziąłem do kieszeni, żeby koledze dać.

Od czasu do czasu komando otrzymywało jakieś dodatki, bo ciężko nie-raz pracowali: z pół kubła jedzenia wieczorem, to dodatkowa miska zupy była. I to już człowiek się czuł bezpieczniej. Tam pracowałem do końca przez te wszystkie lata.

Jak przyszedłem do *Barackenbau*, to moi późniejsi przyjaciele - Hiszpan i Francuz - już tam pracowali w stolarni. Ja znałem tylko trochę niemiecki, a Lopez znał francuski i hiszpański. Pracowaliśmy w jednej sali, byliśmy młodzi, on prawie w tym wieku co i ja, wspólny język znaleźliśmy. Lopez był najbardziej życzliwy, najbardziej ludzki, ciekawy. Potem marzeniem jego było uczyć się po polsku. Uczyłem go więc, a on mnie uczył po francusku i po niemiecku.



Pamiętam, jak w czterdziestym pierwszym roku przybyli Rosjanie. Strasznie zimno było, a oni w lekkich drelichach. Współczuliśmy im. W pamiętniku nawet mam wpis jednego Ruska: *Z towarzyszem Wackiem byliśmy na jednym bloku...* Pomagaliśmy młodocianym Ruskom, bo oni nie byli jako Rosjanie oddzielnie, tylko razem i Jugosłowianie, i Polacy, i Ruski. Mój kapo Hans Kern¹⁵ był sztabowym w połowie tego bloku i ja miałem wtedy wstęp do nich, bo tak nie wolno by mi było. A blokowym był Niemiec. Ponieważ ja pracowałem w komandzie kapo Kerna, miałem dzięki temu kontakt z tą młodzieżą i wpływ na nią.

Jeszcze jeden wpis w pamiętniku: też taki jeden z moich wychowanków... trochę pomagałem mu. Pisał później, po wojnie, do mnie. Ile on może mieć teraz lat? Po sześćdziesiątce... Młody chłopak wtedy był. Ich było dwóch, starszy brat i on. Byli posądzeni, że broń gdzieś ukryli za to dostali się do obozu. Irek Rakowski, przed wojną wyższy urzędnik w jakiejś placówce Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Anglii, który władał kilkoma językami, był tak zwanym szrajberem (Schreiber), sekretarzem. Pewnego dnia Rakowski przychodzi do mnie i mówi: *– Wacek, zajmij się tym młodszym, bo starszy za chwilę będzie rozstrzelany, wyrok śmierci przyszedł na niego.* Jedli kolację wtedy i Rakowski starszego wzywa, mówi: *– Chodź ze mną.* A ten młodszy: *– Dlaczego? Co jest?* Czekamy, czekamy... trach! trach! Strzały. On jakby przeczuwał coś, ale nie wiedziałem, jak mu powiedzieć. Doszedłem do niego i mówię: *– Nie jesteś sam, masz nas, bądź silny.* Przeżył to chłopak strasznie.

15 Według Brytyjczyka internowanego w Gusen, Johna Cartera, który po wyzwoleniu obozu asystował podczas śledztwa przeciwko załodze KL Mauthausen-Gusen i w obszernej korespondencji z trybunałem wojskowym przekazał bardzo dużo informacji o obozie, kapo Kern, szef obozowej stolarni, „był porządnym Niemcem, nie było na niego skarg i nie stosował przemocy wobec więźniów”.

HARCERZE

Myśmy mieli takie grupki harcerskie. Potem dołączyli do nas skauci francuscy. Znajdowaliśmy jakoś wspólny język, tam jak rodzina się żyło. Wszystko w konspiracji, oczywiście. Jak przychodziły transporty nowych więźniów, to wyszukiwaliśmy, czy jest ktoś tajny. A przede wszystkim myśmy mieli pisarzy Polaków. Niemcy byli pisarze i Polacy pisarze. I Polacy byli też w tajnych organizacjach, wyszukiwali, bo dostawali listę przybyłych w transporcie: jaki zawód, skąd on jest... Jak znaleźli kogoś, kim trzeba było się zająć, pomóc mu, to szła wiadomość... Już wiedział doktor Gębik¹⁶ czy Dobosiewicz¹⁷, czy inni, że na przykład do obozu przyszedł uczoney i trzeba jakies komando lżejsze dla niego załatwić. Czy to był polski, czy zagraniczny, tak samo się szło z pomocą. Na przykład pomagaliśmy Bion, malarzowi francuskiemu. To bardzo ładnie opisuje Dobosiewicz w swojej książce.

Myśmy nie palili, ale w obozie papieros był na wagę złota. Dopiero tam zrozumiałem, jaki to straszny nałóg. Ludzie oddawali chleb za kawałek sztumla¹⁸. Palacze truli się, bo jak tego dymu troszeczkę wciągnął, to on się upijał, bo to wynędziały, wygłodniały. A my, jak gestapo czasami wyrzucił sztumel, to zbieraliśmy, kruszyli i to był nasz pieniądz, mogliśmy blokowemu czy kapo dać w upominku trochę tytoniu. Żeby pozwolił, na przykład, kolegom z in-

16 Władysław Gębik, dr filozofii, nauczyciel jedyne go polskiego gimnazjum w Bytomiu, od 1937 kierował taką samą placówką w Kwidzynie; w sierpniu 1939 aresztowany wraz z uczniami i nauczycielami swojej szkoły.

17 Stanisław Dobosiewicz, polonista, nauczyciel, aresztowany w 1940, osadzony w Dachau, później Gusen I; w obozie organizował konspiracyjne życie kulturalne; po wojnie nauczyciel, wieloletni przewodniczący warszawskiego środowiska byłych więźniów Mauthausen, autor czterech książek o obozach koncentracyjnych. Zmarł w 2007.

18 Niem. *Stummel* - niedopalek.

nego bloku przyjść na nasz blok, jeśli chcieliśmy troszeczkę porozmawiać czy pomodlić się, czy po kryjomu w umywalni zanucić jakąś piosenkę, czy przygotować się do jakiegoś tam spotkania. Mówiło się: – *Panie blokowy, czy pan pozwoliłby przyjść kolegom z innego bloku.* Nie można było chodzić po obozie, jak kto chce. On mówi: – *Wiesz, że nie wolno.* – *Tak, ale deszcz, zimno...* – *Po co przychodzą?* Mówię, że dzisiaj niedziela, chcemy się pomodlić. – *Wo ist Gott? Głupi, jeszcze w Boga wierzycie...* No, ale jak zobaczył tytoń, to: – *Gut, tylko żeby nie widziało gestapo.* Weszliśmy i blokowy patrzy, co będziemy robili. *W imię Ojca i Syna...* Modlimy się. Popatrzył i poszedł. Jak on poszedł... Lubomir Szopiński¹⁹, już nie żyje, cudowny muzyk, wypożyczył od jednego z więźniów, Niemca (bo Niemcy mogli mieć instrumenty) wiolonczelę. No i zaczął grać, my cichutecznie nucimy... Koledzy podnoszą głowy i łyżycerają – mężczyźni! Lat po pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. To robiła pieśń. Oni sercem i myślą szli do Polski, do Wisły. To ta siła ogromna. Jeden z kolegów napisał wtedy wiersz, nie pamiętam całego, zaczynało się: *Choć wróg nas gnębi, choć nam siły kradnie, choć chce krew naszą, duch w nas nie upadnie. Duch nasz piastowego ognia jest wspomnieniem, duch nasz Polski mocarnym jest istnieniem. Przetrywamy! W górę serca, bracia!*

Dziś tego nikt nie pojmie. Trzeba było przeżyć te chwile... Wtedy dopiero człowiek wie, jak ważna jest siła ducha. Tam człowiek zrozumiał, co Mickiewicz w *Odzie do młodości* mówił, że *bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy.* Duchem samym nie możemy żyć, bo byśmy z głodu umarli, ale ciałem jak będziemy tylko żyli, to pięć zamków będzie za mało, strach będzie wyjść na ulicę. Musi być harmonia ducha i ciała.

19 Lubomir Szopiński, kompozytor i działacz kaszubski. W obozie w Stutthofie zorganizował chór, skomponował pieśń *Sen więźnia*, popularną w obozach, w 1940 przeniesiony do Sachsenhausen, następnie do Mauthausen-Gusen, gdzie również zorganizował chór i nadal komponował pieśni. Zmarł w 1961.

RELIGIA ZA DRUTAMI



Pewnego razu Piotrek, z którym kiedyś nosiłem węgiel, przyszedł do mnie... On już nie żyje... Po wojnie ukończył studia, pracował w Watykanie. Kiedyś przyszedł do mnie i mówi: - *Wacek, pracujesz w Barackenbau, masz możliwości duże. Ja noszę taki krzyż, bardzo bym cię prosił, bo są rewizje i boję się go przechowywać.* Mówię: - *Skąd otrzymałeś ten krzyż?* Bo przecież rewizja, nago wchodziliśmy do obozu, nie wolno było nic przenieść.

- *Bierz, lepiej nie pytaj!* Ten krzyż mam do dzisiejszego dnia, od czterdziestego pierwszego roku. Ukrywałem go pod deskami, nie nosiłem przy sobie. Nie zapomnę, jak nieraz szli ludzie do gazu. Czasem udało nam się przemycić go do nich - całowali ten krzyż, prosili o przebaczenie grzechów. Był dla nas wielką duchową siłą. Kiedyś Piotrek przyszedł do mnie i mówi: - *Wacek, potrzebuję ten krzyż.* Wyciągnąłem go spod desek, ale mówię: - *Piotrusz, przynieś aby, bój się Boga! Bo są rewizje częste.* - *Dam ci rano przed apelem.* Rano czekam, Piotrek jakoś nie przychodzi. Poszliśmy do roboty, ale mnie niepokoiło cały czas coś, co jest? Wieczorem, jak staliśmy na apelu, jest rewizja. Gestapo po blokach. O, Boże! Drzę, czy nie będą już wołali Piotrka, czy kogoś innego. Nikogo nie wołają, o dziwo! Jak Piotrek mi opowiadał potem, położył krzyż pod kocem i zapomniał go zabrać ze sobą, żeby mi oddać! Koc był odwinęty po rewizji... Musiał mieć ten gestapowiec sumienie, serce - nie wiem - że chciał pokazać, że widział ten krzyż. Piotrek, jak mi o tym opowiadał, to miał łzy w oczach. - *Nie wiem, co to mogło być. Albo dobry człowiek, który to widział, albo odwinął koc, może nie spostrzegł?* Od tego czasu byliśmy bardzo ostrożni.

Przyszedł maj. Dla nas, Polaków, te nasze kapliczki przydrożne... wspomnienie ich to była wielka siła. Myśmy podzielili się wezwaniami Litanii do Matki Boskiej Loretańskiej: - *Słuchaj, jak będzie „Mützen ab”* [czapki zdejm] *wieczorem* - apel, to było w maju tylko - *to wszyscy myślą do Polski, każdy pod swoją kapliczkę, tam gdzie miałeś to swoje święto. I jak powiedzą „Mützen ab”, to ty mów: Królowo anielska, módl się za nami...* Mieliśmy iluś tam, stu pięćdziesięciu - stu dwudziestu wtajemniczonych. I każdy, co miał to wezwanie, z tego ruchu naszego, prosił następnych. Jaką to miało wartość? W tym momencie człowiek czuje tę siłę duchową, potężny głos, że nie jestem sam. Pewnie, że to w dzisiejszym świecie może być ośmieszane, bo takie idealistyczne, co to da? A dawało bardzo dużo, bo nas łączyło, dawało siły. Ten duch oporu w tym się przejawiał, bo cośmy innego mogli zrobić?

To już był chyba czterdziesty czwarty rok. Ukrywałem krzyż między deskami, na placu – cała masa, tysiące tych desek – i między nimi. Pewnego dnia coś mi mówi – bo były rewizje, żeśmy go nieraz nie wyciągali tydzień – i coś mi mówi, żeby zajrzeć do krzyża. Patrzą: nie ma! Deski zabrane. Zmartwiony, nie wiem, co robić. Pytam kolegów, Polaków, którzy pracowali ze mną: – *Nie widzieliście, ja tu miałem krzyż schowany?* – *Myśmy nie widzieli. Ale ten i ten brał deski, zapytaj jego.* Tam, w tym komandzie co ja, pracowało dwóch braci, Niemców, świadków Jehowy. Oni bardzo dobrzy byli, zwłaszcza jeden, Erwin. Pytam go: – *Był tu schowany katolicki krzyż. Miałem go na przechowaniu. Tutaj deski brali koledzy, czy nie widziałeś?* On mówi: – *Ja tu nie byłem, ale był brat mój, Karl.* Idziemy razem do niego, a on mówi, że nie wie nic. Koledzy polscy stali, mówią: – *Karl, no przecież ty byłeś tutaj, widziałeś, jakiś krzyż był.* Uprosiłem go i oddał mi.

Zawsze w Wielki Piątek tośmy przynosili krzyż po kryjomu do obozu. W nocy budziliśmy jeden drugiego i była adoracja krzyża. Na szczęście udało mi się go przechować aż do wyzwolenia, jak również drugi, który ocaliliśmy. To krzyż, który był w czterdziestym roku w kostnicy. Kostnica to był taki mały baraczek, jak ktoś umarł, zawiadamiali rodzinę, że taki i taki zmarł na zawał serca, można było przyjechać i zobaczyć. Brano ciało zamordowanego, owijano w prześcieradło i kładziono tam. Były kwiaty, krzyż i figura Matki Boskiej. No i przez małe okienko mogła rodzina popatrzeć. Pewnego razu przyjechała jakaś pani z Polski, ale mówi, że chce zobaczyć z bliska męża swojego. Zrobiła tam ogromną historię, no i potem kazano rozebrać tę kostnicę, już więcej nie przyjeżdżano²⁰.

20 Pełny opis kostnicy obozowej i znajdującego się w niej krzyża znajduje się w: Ossuchowski J., *Gusen - Przedsionek piekła*, Warszawa 1961 r., s. 48-49: „Poza drutami obozu, tuż obok baraków esesmanów zbudowano mały drewniany domek przeznaczony na kostnicę. Zdarzało się czasem, że telegraficznie powiadomiona o śmierci bliskiego człowieka rodzina przybywała, aby obejrzeć

Nasze komando tę kaplicę rozbierało. Deski poszły gdzieś na skład. Krzyż myśmy zabrali. Komendant obozu kiedyś przyszedł i: – *Wo ist Madonna?* Nasz kapo mówi: – *Tu jest*. Ale jeszcze krzyż był: – *Wo ist Kreuz?* Więc

przynajmniej zwłoki. Zmarły leżał w kostnicy na katafalku. Niezczędzono mu nawet wieńców. Kwiatami przybierano również zawieszony na ścianie krucyfiks; zapalano świecę. Cała ta inscenizacja miała na celu wywołanie u matek lub żon wrażenia, że w obozie panują normalne stosunki. Nikt nie mógł przypuszczać, że zmarły jest ofiarą bestialstwa Zaha, Rotha czy innych katów i, że inni więźniowie zmarli tego samego dnia leżą jeszcze w gnoju lub za nogi ciągnie się ich do krematorium. Jakże przypuszczenie takie mogło się nasunąć, skoro sam kierownik obozu, Chmielewsky, w pięknych słowach pocieszał strapioną żonę przybyłą z dziećmi z Polski. – *Czyniliśmy wszystko* – mówił tonem współczucia – *co tylko było w ludzkiej mocy, aby go uratować*. Był to nasz najlepszy pracownik, lubiany i ceniony przez wszystkich, czego dowodem te wieńce. Ten oto od komendanta obozu, a ten od kierownika warsztatów, gdzie nieoceniony zmarły pracował, tamten od jego serdecznych przyjaciół. Sprowadziliśmy najlepszych lekarzy z Wiednia i Berlina, byleby tylko wyrwać go z objęć śmierci. Ale przeciwko woli boskiej niepodobna walczyć. Pomódlmy się za duszę zmarłego. I ten bluźnierca, który na każdym kroku wysmiewał Boga i religię, który zabijał ludzi noszących medaliki lub krzyżyki, ten zabójca setek niewinnych ludzi, teatralnym gestem zdejmował czapkę i stawał w skupieniu obok klęczącej rodziny zmarłego. Niedługo jednak trwała komedia z kostnicą. Przy dużej ilości zmarłych nietrudno było o pomyłkę. Zdarzyło się kiedyś, że pewna kobieta na widok nieboszczyka wykrzyknęła: – *Przecież to nie jest mój mąż!* Konsternacja, zamieszanie. Chmielewsky, towarzyszący przyjezdnej kobiecie, nie wiedział, co powiedzieć. Starał się wmówić w nią, że długa choroba zmieniła zmarłego nie do poznania, że to na pewno on. Kobięcina protestowała, twierdząc, że jej mąż był niskiego wzrostu, a tu w trumnie leży jakiś olbrzym. Na taki argument Chmielewsky nie miał odpowiedzi. Musiał się przyznać do pomyłki, która – jak obiecywał – zostanie wyjaśniona. Kobieta upierała się i chciała koniecznie zobaczyć zwłoki męża. Takiemu żądaniu trudno było zadośćuczynić. Jakże odnaleźć wśród kilkudziesięciu zmarłych jej męża? Odeszła z niczym. Ciało męża nie zobaczyła, zobaczyła natomiast obrazek, który na całe życie pozostał jej w pamięci. Niedaleko od kostnicy prowadziła droga, którą przechodzili więźniowie uginający się pod ciężarem wielkich murarskich kamieni. Poganiał ich kapo, waląc potężnym drągami. Jeden z więźniów upadł. Oprawca rzucił się na niego, bijąc i traktując w nieludzki sposób. W tym momencie kobieta w towarzystwie Chmielewsky'ego wychodziła z kostnicy. Przystanęła, popatrzyła... i bez słowa ruszyła przed siebie. Nie miał Chmielewsky szczęścia tego dnia. Aby uniknąć kompromitacji na przyszłość, wystawianie zwłok na widok publiczny zostało zakazane, a kostnicę rozebrano”.

kapo mówi: – *Nie wiem*. Komendant pyta: – *Wenzel, wo ist Kreuz?* Ja mówię: – *Nie wiem, myśmy tylko zabrali to. Wszystko zwalili, zniszczyli. Pewnie z drzewa, no to połamane*. Tamten nic już nie powiedział. Madonnę zabrali, a myśmy krzyż ukryli. Ale jego, jak się schowało, to do końca go się nie wyjmowało, nie przenosiło. No i wróciliśmy i przywieźli go do Polski. To jest dla mnie bezcenna pamiątka, którą będę chciał przekazać synowi czy wnukom.

CHODZONY UNIWERSYTET, KONCERTY

Człowiek żył wiarą, że przeżyje. Mimo, że się narażał, ale wierzył. Dzięki Piotrkowi poznałem doktora Gębika, profesora Adamanisa²¹ z Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesora Iwińskiego z Łodzi²², całą masę różnych...²³ Wtedy już działała tajna organizacja, która na celu miała podnoszenie na duchu, pomoc wzajemną, opiekę nad młodocianymi. Polegało to na tak zwanych trójkach, czyli dwóch słuchaczy i profesor, który przychodził w wolnych od pracy chwilach. Chodziło się między blokami czy po placu apelowym, niby się rozmawiało, w środku był profesor, po bokach my, dwóch słuchaczy. I to się nazywało uniwersytet chodzony. Wykłady były na różne tematy: historyczne, geografia - z różnych dziedzin nauki profesorowie byli. Zależy, kiedy

-
- 21 Franciszek Adamanis, farmaceuta, kierownik Katedry Chemii Farmaceutycznej Uniwersytetu Poznańskiego; po aresztowaniu w kwietniu 1940 trafił do KL Dachau, a następnie Mauthausen-Gusen; pracował w kamieniołomie i przy budowie bocznicy kolejowej, staraniem W. Gębika został przydzielony do komanda Spielberg, które prowadziło prace archeologiczne w zamku Spielberg; podczas pobytu w obozie zorganizował tajną produkcję leków, prowadził wykłady z chemii i farmacji. Zmarł 14 kwietnia 1962.
 - 22 Dr Józef Iwiński, przed wojną pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego, urodzony w Łodzi, chemik; był członkiem Tajnej Organizacji Nauczycielskiej i ZWZ; został schwytyany podczas łapanki ulicznej. Zwolniony z obozu 3.09.1942, po powstaniu warszawskim trafił do obozu w Pruszkowie wraz z wysiedlaną ludnością stolicy.
 - 23 KL Mauthausen-Gusen był jednym z najcięższych obozów; z początku więziono tu niemieckich i austriackich socjalistów, komunistów, antyfaszystów i homoseksualistów; od wiosny 1940 nastąpił duży napływ więźniów z Polski, głównie ze środowisk inteligenckich (Gusen ujęto w planie *Intelligenzaktion*). Nazwisk naukowców wystarczyłoby do utworzenia dobrze obsadzonego uniwersytetu (i rzeczywiście taki powstał - „chodzony”). Oprócz tego było tu więzionych wielu ludzi kultury, duchownych, działaczy społecznych. Esesmani nadzorujący budowę obozu w Gusen nazywali go *Vernichtungslager für die polnische Intelligenz* - obóz zagłady dla polskiej inteligencji. W 1940 Polacy stanowili 97% ogółu więźniów i do końca funkcjonowania tego obozu stanowili w nim większość.

i gdzie były możliwości, w jakich godzinach. Można było sobie zaplanować, a esesmani jakąś tam goniwę zrobili czy co innego i po nauce. Nasi wykładowcy mówili językiem bardzo przystępnym, oni tak przedstawiali temat, że człowiek rozumiał. I dyskutowali: jak coś się nie wiedziało, to on rozmawiał, tłumaczył, to nie to, że profesor krzyknie i sam sobie radź. To była rozmowa. Nigdy tak człowiek się nie uczył i tak nie chłonał wiedzy, jak wtedy. Tym się żyło, cały dzień o tym wykładzie się myślało. Profesorowie mówili, że Polska będzie. I chociaż jesteśmy w obozach, więzieniach, trzeba nas, młodych, przygotowywać, bo Polska nas będzie potrzebowała. Nie drżeliśmy, że jutro już z nami koniec czy pojutrze, chociaż nigdy człowiek nie wiedział, co za godzinę czy dwie.

Szkoda, że te rzeczy nie były opisane jeszcze za życia tych ludzi. Wspaniali byli nasi wykładowcy. To byli bohaterowie. Głodni, wynędzniali, powinien odpocząć, a on szedł i miał wykłady, uczył, wychowywał. To dzisiaj trudne do zrozumienia. Głęboki mój pokłon dla tych ludzi nauki, którzy ratowali młodszych, opiekowali się nimi. Byli też głównym motorem pracy kulturalno-oświatowej: po kryjomu organizowano różne wieczornice. Uprawiano się, że w tym i w tym bloku zbierała się gromadka wtajemniczonych. Jeden stawał na warcie, no i odbywały się różne koncerty, nie koncerty. Najpierw polskie, a później i innych. Człowiek zaprzyjaźnił się z kolegami różnych narodowości.

Nie zapomnę nigdy takiego wieczoru: była Wigilia Bożego Narodzenia i na kolację otrzymaliśmy po dwa kartofle w obierkach, gorzką kawę, kawałek czarnego chleba. I piękna choinka wystawiona, kolęda *Stille Nacht*. Jakieś dwa, trzy kilometry od nas był kościółek St. Georgen. I tak jak na Pasterkę u nas, uderzyły dzwony. W tym samym czasie, cichutecznie koledzy nucili sobie kolędę: *Cicha noc, święta noc...* A kolega wziął kawałek ołówka ciesielskiego, kawałek papieru z worka po cemencie i pisze: *Pochylmy głowy pod wiatru szept, to płynie prosta kolęda od betlejemskiej ziemi. Matczyne*

ręce dzielą z nami opłatka chleb, na świecie gwiezdna noc i Bóg jest między swymi. Słuchajcie na śnieżnych drogach Ojczyzny dzwonów śpiew, dzwony do kraju wołają, niech im odpowie serce, że my tu w górę wznosimy męczeństwo swoje i krew, by złożyć je w darze przed Panem, jak kiedyś pasterze w stajence. Kraju za czarną nocą, kraju śnieżystych dróg, dla ciebie dziś nasz ból i wszystka tęsknota, bo głośniej dzwonią niż dzwony kajdany niewoli u nóg i czarny płaszcz zawisł nad tobą. I łzawisz bolesnym potem, bo dziś ani jednego snu nie będzie bez myśli o zabitym ojcu, o uwięzionym synu. I cisza będzie w ojczyźnie, a ludziom zbraknie tchu, gdy pierwsza zabłyśnie gwiazda w zmierzchu najświętszej godzinie. Do Ciebie wznosimy dziś nasz śpiew, Boże maleńki, bośmy najubożsi ze wszystkich ubogich ziemi. Daj nam choć sercem tam wrócić i okruch gorzkiego chleba podzielić między swymi.

To się narodziło właśnie w takiej chwili, właśnie tam, z serca wypowiedziane. Te dzwony, kawałek chleba, którym się łamaliśmy – nie opłatek, tylko czarny chleb...

Dobosiewicz czy inni organizowali też pogadanki, takie lekko polityczne, ale na to szli ci, którzy się polityką zajmowali. Ja się polityką nie interesowałem. Były też organizowane mecze, zawody, ale ja zasadniczo sportem się nie zajmowałem. Moim zadaniem były sprawy kulturalno-oświatowe, tak zwana duchowa siła. Naszym celem było ratowanie młodych, ratowanie siły ducha, żeby nie tracili się, uczenie ich. Człowiek nie mógł się rozproszyc, bo przecież musiał pomyśleć i o sobie, zacerować, wyprać.

Kapo może czasami i coś wiedzieli, co się dzieje po cichu. Był taki przypadek, że kiedyś gestapo weszło do komanda, a myśmy sobie gotowali kartofle w obierkach, w garnuszku. Ktoś krzyknął, że gestapo idzie, i ja ten garnuszek schowałem w drzewo, ale on zauważył, że coś chowam. – *Was ist los? Mówię: – Nic. – Powiedz, coś tam schował?* Ja znów: – *Nic.* I mój kapo zaczyna mówić: – *To dla mnie. Kazałem mu ugotować, bo głodny byłem.*

Wyratował mnie. Nic nie zrobił temu kapo, bo ten Niemiec i ten Niemiec, a z drugiej strony czasami esesman też coś potrzebował: a to mebel mu naprawić, a to coś - zawsze się dogadali. Wszystko zależało od człowieka. Kiedyś jeden z kapo udawał, że bije więźnia, bo szedł gestapowiec. Lekko uderzał, udawał i: - *Krzycz, cholero, że cię boli!* A nieraz za nic pobił.

Muszę powiedzieć, że los mi dał szczęśliwie uniknąć, że w takich nagonkach, biciach ogólnych nie ucierpiałem bardzo. Raz, co mnie zbił Niemiec, to kiedy byliśmy w Szczeglinie. Ludzie nieraz mówią: ja wolałbym być wyższy, przystojniejszy. I ja tak kiedyś mówiłem. Ale, kiedy się znalazłem w takim nieszczęściu, mówię: Boże! Jak to dobrze, że ja jestem niewysoki, bo ten wysoki zawsze więcej dostawał, bo go było widać, a ten mały to w tłumie ginął. Jak to nigdy nie można narzekać, jakim się jest. Pamiętam, kiedyś w nocy wyszedłem za potrzebą i, żeby nikogo nie obudzić, to buty się niosło w ręku, zakładało się je dopiero na zewnątrz, bo jakby się blokowy obudził, to by stłukł. Wyszedłem i tylko wsunąłem na nogi te buty, do ubikacji leciałem. Akurat szedł gestapowiec, woła mnie, oczywiście trzeba było stanąć na baczność - no i krzyknął, dlaczego ja niszczę buty, przydeptuję pięty. Ale tylko dostałem raz gumą.

LISTY

To był chyba czterdziesty rok, grudzień. Otrzymaliśmy zezwolenie, że możemy napisać do domu, do rodziny. Listy tylko po niemiecku można było pisać. Treść była z góry ustalona: *Ich bin gesund [jestem zdrow] i dobrze mi się powodzi...* Nie można było więcej, bo jak ktoś inaczej napisał – potem były kontrolowane listy – wzywali zaraz, człowiek miał nieprzyjemności. A w listach to różnie... pod pseudonimem, szyfrem, zmieniało się nazwy. Ja po niemiecku nie umiałem pisać, ale o dziwo, znalazłem kolegę z podstawowej szkoły, który mi pisał. Bolek Kowalik, pracował w kuchni. Nawet popłakaliśmy się, że nie znaleźmy się wcześniej, dopiero w takim dziwnym miejscu... Potem już człowiek sam te parę zdań pisał. Ja jeszcze kawalerem byłem, to pisałem tylko do matki, a ona do mnie. Brat, który był w obozie w Stutthofie, był już żonaty, więc pisał do swojej żony, bo tylko jeden list można było. Ona powiadamiała mamę.

Potem był taki czas, kiedy Polacy mogli już otrzymywać paczki. Matka przysłała koledze małą paczuszkę i tam był tylko zwykły czarny chleb i list: *Synu najdroższy, nie mogę Ci nic więcej przesłać, bo sama nie mam, ale ten chleb, co mi w przydziale wypada na ten wieczór, przesyłam Ci i Boga proszę, żeby Ci dał siłę przetrwania, żebyś wrócił.* Gestapowca, który rewidował paczki, jak to zobaczył, wzruszyło to, i do tego chleba z innej paczki coś mu dołożył. Kiedyśmy się dowiedzieli o tym, poprosiliśmy kolegę, żeby nam ten chleb oddał, daliśmy mu inny i po kryjomu w Wigilię różne narodowości zebrały się na jednym z bloków. Ustawiliśmy wartę, blokowy wyraził zgodę – ten Niemiec też był wierzący. Dobry, dobry był ten kapo i ten blokowy, bo zezwolił na ten wieczór. Daliśmy mu z naszych paczek różne rzeczy, żeby zadowolony był i nic nie mówił, papierosy też dostał. Myśmy przygotowa-

li różne kolędy. Na stole leżał tylko ten czarny kawałek chleba. Byli Włosi, Czesi, nawet i więźniowie rosyjscy. Zaczęło się: *Stille Nacht, heilige Nacht* – pamiętam, druga kolęda: *Boh przedwiecznyj nam naroditsia*, a potem: *Bóg się rodzi, moc truchleje*. Każda z narodowości chciała się popisać. Czech, a może to był Jugosławianin, śpiewał: *Zvonary*. No i później ten chleb... Mówimy, że matka Polka przysłała synowi swemu i dzisiaj połamiemy się nim. Tworzymy jedną ludzką rodzinę i wszyscy razem pomagajmy sobie i wróćmy do swoich krajów. Wszystko róbmy, żebyśmy żyli w zgodzie, przyjaźni. Łzy do oczu szły. I myśmy tym kawałkiem chleba się wszyscy połamali. Słyszałem, że potem, już na wolności, koledzy wspominali ten wieczór. To było coś przepięknego, to dodawało nam siły. Niezapomniany wieczór.

RUCH OPORU W OBOZIE

Całemu temu ruchowi naszego wewnętrznego oporu przewodził doktor Władysław Gębik, to był pierwszy dyrektor Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie. Był też między innymi pan Lubasiewicz, obecnie już nieżyjący, Grüp. Cały sztab był, ale myśmy nie wiedzieli jeden o drugim. Każdy miał swoją komórkę, bo niebezpiecznie było za dużo wiedzieć. Więc pomoc niesiona głodnym – to Bartkowiak pracował w *Brotmagazin*, magazynie chleba. Roznosząc węgiel, myśmy też szli do tego magazynu. On nam dawał dwa bochenki chleba, myśmy kładli pod koszulę i – Matko Boska, ratuj! – żebyśmy nie podpadli. Baliśmy się, żeby nie rewidowali na bramie, jakeśmy przechodzili. Człowiek drżał, Boga prosił, bo i Bartkowiak by leżał, i my byśmy leżeli. Wykończyliby nas. Ale jak już się przeniosło ten chleb, sam człowiek się najadł i niosło się tym głodniejszym. I to była między innymi praca ruchu oporu, bo myśmy nie mieli innych możliwości, tylko pomagać jedni drugim, ratować młodocianych, uczyć ich. A było w obozie chyba ze sześciuset, siedmiuset chłopców, takich czternaście–piętnaście–szesnaście lat. Tak samo ciężko pracowali jak i my. Nie zapomnę nigdy, jak kiedyś wieszani za ręce na takich słupach, krzyczeli: – *Mamo, po coś mnie na świat wydała!*

Poza tym koledzy, na przykład taki Czepionka, który pracował w magazynach odzieżowych, w warsztatach reperacyjnych, a to skombinowali jakieś pończochy, skarpety, a to jakieś ubrania z magazynów. To była bardzo duża grupa.

BRATERSTWO

Przekonaaliśmy się, że można tam było żyć, tam, gdzie ludzi zrównano wszystkich, zabrano nazwiska i imiona, ale nie zabrano wnętrza. I ludzie potrafili zapomnieć, jakiej narodowości, jakiego są wyznania. Tam nie było – czy komunista, czy faszysta, czy katolik. Nikt o to nie pytał. Tyś człowiek i ja człowiek, pomagajmy sobie. I to było celem tego naszego ruchu. Nie, że ja, mój naród. Jak ktoś był głodny, to nie patrzyłem, czy ty jesteś taki, czy inny. – *Jesteś głodny, masz!*

Myśmy tych ludzi różnych narodów nie znali – jakich zapatrywać, jakiej religii, prawda? To było cudowne, że jak upadłem, to mnie podnosi Rusek czy Niemiec, Anglik, czy Czech. I on kijem dostał za to, że mnie podniósł. Ale podniósł człowieka, który upadł. Można, nawet w takich strasznych okolicznościach, żyć w przyjaźni, w braterstwie, wzajemnie sobie pomagać, ufać sobie, wierzyć jeden drugiemu. Dlaczego, kiedy ta wolność już przychodzi, nie potrafimy tak żyć?



Otrzymałem, kiedyśmy odchodzili z obozu, od kolegów różnych narodowości piękny pamiętnik. Kiedyś bardzo dużo brano do gazowania ludzi, byli już wybrani na placu apelowym, stali przed blokiem śmierci, ale jeszcze ich nie spisano. I nam udało się kilku z tej grupy wyrwać. Między innymi uratowaliśmy Marcela Bion, to był artysta malarz. Ten pamiętnik, co mam, to właśnie on mi malował, już przy samym końcu obozu, koniec kwietnia, początek maja czterdziestego piątego roku. A koledzy różnych narodowości na pamiętkę się wpisali.

WYZWOLENIE

Kiedy zaczął się front cofać, to tak troszeczkę łagodniej w obozie było. Już się więźniowie znali, znało się kapo, blokowych, powstały pewne więzi. Także blokowy człowieka poznał i znało się blokowego, jego grymasy. Bliżej końca już było bardziej spokojnie, kiedy oni przestali wierzyć, że to będzie miało dla nich korzystny przebieg.

Pod Wiedeń podchodziły już wojska i z drugiej strony też napierały. Z jednej strony szli Amerykanie, z drugiej – wojska rosyjskie. Które pierwsze przyjdą? A myśmy byli w środku, w kotle. Niemcy się obawiali oddać tyle ludzi... nas miano zgładzić, żeby nie było świadków. Dowiedzieliśmy się po kryjomu, że są przygotowania i że w razie czego... Były ogromne hale wybudowane w podziemiach kamieniołomów. Tam się budowało różności – samoloty, broń, kilka tysięcy ludzi wchodziło w te góry²⁴. Pewnej nocy nawet nasze komando – ja tam nie robiłem, kapo nam potem mówił – zawezwano i zamurowali wejścia, tylko jedno zostawili. Próby robili, że pędzono ludzi, i ile czasu trzeba, żeby te kilka tysięcy ludzi jednym wejściem weszło w podziemia. Nawet i chorych ze szpitala mieli zwozić. Później się okazało – mieli nas tam wszystkich... Dynamitem podobno wszystko było wysadzone²⁵. Miał

-
- 24 Zwłaszcza w drugiej połowie wojny, niemiecki i austriacki przemysł zbrojeniowy wykorzystywał niewolniczą pracę więźniów; były to m.in. firmy Messerschmit, Heinkel, Bayer, Steyr, Accumulatoren-Fabrik, Österreichische Sauerwerks. W 1944 i 1945 roku w Gusen powstało całe podziemne miasto. Kilometry korytarzy, torów kolejowych, windy, specjalny system wentylacyjny i wielkie hale fabryczne – produkowano w nich kadłuby samolotów i inne elementy uzbrojenia dla Luftwaffe. Kompleks był odporny na uderzenia bomb i ewentualny atak gazowy. Całość została wydrążona w skałach przez więźniów obozu koncentracyjnego w Gusen.
- 25 Krótko przed wyzwoleniem SS usiłowało zatrzeć ślady zbrodni: zdemontowano instalację do zagazowywania, palono kartoteki obozowe, w ramach akcji „czysz-

być dzwonek: alarm, i mieliśmy wszyscy lecieć do tych piwnic. Ruch oporu starał się przekonać, żebyśmy nie szli, żeby każdy uciekał, chował się, gdzie może. Że się chociaż ktoś uratuje, a tak, to nas wszystkich wymordują.

Dużo pracowało u nas w obozie, w tych kamieniołomach, cywilów, Austriaków. Kiedy oni dowiedzieli się, że nas mają zgładzić, powiadomili austriacką tajną organizację wyzwoleńczą. Oni mieli rodziny w okolicznych miasteczkach. A już była panika wśród gestapowców, zaczęli wyjeżdżać. I wtedy, kiedyśmy czekali wszyscy na najgorsze, patrzymy: gestapo ucieka, a policja austriacka wchodzi do obozu razem z tymi cywilami. Warty obejmuje zupełnie kto inny! Jeszcze dwa dni byliśmy w takiej niepewności. Głód był straszny. Na trzeci dzień – otwierają się wrota – amerykański żołnierz²⁶.

czenia” pospiesznie mordowano wycieńczonych więźniów; jednym z elementów tego planu – nie zrealizowanym – było zamknięcie pozostałych przy życiu więźniów w sztolniach i wysadzenie ich w powietrze.

- 26 Większość załogi SS opuściła Mauthausen i Gusen w nocy z 2 na 3 maja 1945, pilnowanie więźniów powierzono oddziałom policji ogniowej z Wiednia (*Feuerschutzpolizei*). 5 maja do Mauthausen i Gusen dotarła 11 Dywizja Pancerna 3 Armii Stanów Zjednoczonych. Istnieją też jednak inne doniesienia – ich potwierdzeniem jest relacja Wacława Milke – że ocalenie pozostałych przy życiu więźniów jest zasługą pracownika bankowego Louisa Häflingera, wolontariusza Czerwonego Krzyża, który pod koniec kwietnia zorganizował transport żywności dla głodujących więźniów. Po wielu zabiegach i interwencjach u wysoko postawionych funkcjonariuszy SS 30 kwietnia udało mu się dostać do Mauthausen, pod warunkiem, że nie będzie mógł opuścić obozu do końca wojny. Został zakwaterowany razem z Guido Reimerem, który zajmował się walką z ruchem oporu w obozie. Reimer zdradził mu plan eksterminacji więźniów oraz mieszkańców pobliskich miejscowości w podziemnych halach; ładunki wybuchowe były już założone; miał to być pomysł Heinricha Himmlera i Oswalda Pohla. Aby zapobiec tragedii, Häflinger postanowił skontaktować się ze zbliżającą się armią amerykańską. Z pomocą Reimera przemasował na biało samochód należący do SS, zatknął na nim zdobytą gdzieś flagę Czerwonego Krzyża i 5 maja rankiem wyjechał – wraz z Reimerem i wiceburmistrzem St. Georgen – na spotkanie Amerykanów. Dowódcę napotkanego oddziału patrolowego, sierżanta Alberta J. Kosieka (Polaka z pochodzenia!), przekonał, że jest przedstawicielem Czerwonego Krzyża, a w pobliżu znajduje się obóz koncentracyjny, w którym jest ok. 1600 więźniów i 400 strażników SS, którzy poddadzą się bez walki (w rzeczy-

Co się nie robiło wtedy! Ludzie rzucali się sobie w objęcia, płakali, całowali, każdy naród śpiewał swoje hymny, jakieś flagi wyciągnięto – kiedy to było zrobione, nie wiadomo. Trudno opisać tę radość.

Po piętnastu minutach zemsta na różnych kapo, nie kapo²⁷. Potem każdy uciekał, gdzie chce. Druty rozerwane, króliki żywcem rozrywane, kartofle surowe jedzone. Ile tam ludzi umarło!²⁸.

Ja i koledzy moi noc przesiedzieliśmy, bo strach było spać, ale już na drugi dzień cała grupa nas poszła do Linzu i pierwsze kroki do świątyni Bożej: *Dziękujemy Ci!* Dostaliśmy rozgrzeszenie od księdza austriackiego, bo nie mamy możliwości spowiedzi. Powiedział: – *Rozgrzeszam was wszystkich, jak będziecie kiedyś u siebie, to pójście do spowiedzi, ale teraz możecie przyjąć komunię świętą.* Nas było koło tysiąca, kościół był zapełniony mężczyznami w tych łachmanach więziennych. Austriaczki płakały – bo mówiły im, że więźniowie to bandyci, a tu Bogu dziękują, modlą się. Kiedyśmy

wistości w kompleksie Mauthausen-Gusen było wówczas ok. 40 tys. więźniów). Po uzyskaniu zgody dowódców, sierżant Kosiek na czele swojego niewielkiego oddziału wkroczył do obozu. Häflinger po wojnie został ukarany za pogwałcenie zasady neutralności, jaka przyświeca działaniom Czerwonego Krzyża, długo nie mógł znaleźć pracy, jednak w późniejszym czasie „zbawcę Mauthausen” zrehabilitowano, był nominowany do pokojowej Nagrody Nobla, otrzymał liczne odznaczenia; w Wiedniu jest ulica, a w Zurychu park jego imienia. Zmarł w 1993 na Słowacji, w rodzinnej miejscowości swojej żony. Guido Reimer, strażnik kolejno w Buchenwaldzie, Mittelbau-Dora i Mauthausen, jako zbrodniarz hitlerowski został skazany na śmierć; karę zamieniono mu na dożywocie, na wolność wyszedł w grudniu 1952.

- 27 W Gusen doszło do samosądów, w wyniku których zginęło ok. 500 osób; uczestniczyli w nich więźniowie i wyzwoliciele, wstrząśnięci tym, co zobaczyli po wywoleniu obozu. Wśród ofiar samosądów byli strażnicy, którzy nie zdążyli uciec, ale też współwięźniowie, oraz obozowi kapo. Ciała zostały spalane w masowych grobach na oczach miejscowej ludności przymuszonej do oglądania.
- 28 Więźniowie byli tak skrajnie wygłodzeni, że posiłki trzeba im było dawkować jak leki; wielu z tych, którzy chcieli jak najszybciej zaspokoić głód, przypląciło to życiem.

wychodzili z kościoła, to te kobiety, starsze panie, zabierały nas do domów. Mnie też zabrała taka jedna pani. Nie bała się, że mogę być przecież brudny i zawszony. Z całą rodziną nas przyjmowali w domu. Wciąż ją widzę, wciąż widzę tych gospodarzy, którzy z taką życzliwością nas przyjęli. Jak opowiadaliśmy im o życiu w obozie, to płakali. Mam jej adres, bo mi się wpisała do pamiętnika. Pisałem do niej, jak wróciłem do domu, ale myślę, że w ogóle list z Polski nie wyszedł. Bo to przysły takie czasy, że nie można było korespondować z zagranicą. Na pewno by odpowiedziała na list.

Powiem szczerze – w obozie chwil załamania, utraty wiary w sens wszystkiego nie miałem. Ratowała mnie wiara i dziękowanie Bogu za każdy przeżyty dzień. I ta chęć, żeby wrócić, zobaczyć matkę, żeby jeszcze pożyć. Były ciężkie chwile, upadał człowiek nieraz, ale miałem tę siłę przetrwania. Światopogląd, taka harcerska postawa – to pomogło mi przeżyć te prawie pięć lat w obozie. Bogu dzięki, że człowiek to przetrzymał.

WYJAZD DO FRANCJI

Hiszpanów i Francuzów, którzy byli z nami, już na kilka dni przed wyzwoleniem zabrał z obozu francuski Czerwony Krzyż. A my, Polacy... Czerwony Krzyż się nami nie opiekował. Jeść nie ma czego. Kraść nie możemy przecież. To tam jak mogli, tak nam jeszcze troszeczkę Austriacy pomagali. Miałem przyjaciela Hiszpana, Lopeza, który pracował w tym komandzie co ja. Jak on się dowiedział, że obóz już jest wyzwolony, skombinował skądś rower i do Linzu pojechał. Los chciał, że akurat szedłem rynkiem i on mnie zauważył: – *Wenzel, Wenzel! Słuchaj – mówią – wy głodujecie. My już za dwa dni jedziemy, zabierają nas do Francji. Załatwię, że zabierzemy cię z sobą, masz tam dużo przyjaciół.* No i rzeczywiście, dwa dni potem zabrałem się z nimi. Tak byłem wycieńczony, że nie wiem, jak się znalazłem we Francji. Tyle wiem, że samolotem. No i tam: gdzie iść? Miałem serdecznego przyjaciela, karmelitę, przeora klasztoru Avon koło Fontainebleau²⁹. Najpierw do niego. On został w Mauthausen, czekał na transport. Później przyszła wiadomość, że zmarł. Przywieźli potem jego zwłoki, pochowano go w Fontainebleau. Ci bracia przyjęli mnie i Lopeza jak kogoś najbliższego. Jakiś czas byłem u nich w klasztorze, podleczyli mnie, doszedłem do siebie. Niedaleko był też zakon karmelitanek i kiedyś poszedłem je odwiedzić, bo wiedziałem, że tam jest siostra Florek, Polka. No i rzeczywiście. Ogromnie się ucieszyła.

29 Chodzi o Lucien-Louisa Bunela zwanego również Père Jacques de Jésus (1900–1945) karmelitę i dyrektora Petit Collège Sainte-Thérèse de l'Enfant-Jésus, działacza francuskiego ruchu oporu, wysłanego do obozu za pomaganie żydowskim dzieciom. Wśród polskich więźniów nazywany Père Zak, zmarł z wycieńczenia wkrótce po wyzwoleniu obozu, 2 czerwca 1945 r. Jego działalność została doceniona zarówno przez katolików, jak i Żydów. W roku 1990 otwarto jego proces kanonizacyjny.

Kiedy jej opowiedziałem o obozie, naturalnie popłakała się. Pokazałem jej wyniesiony z obozu krzyż i poprosiłem, żeby mi zrobiła do niego podkładkę. I siostry zrobiły cudowną podkładkę, z napisem „Gusen”, wokół krzyża promienie z flag różnych narodów i między innymi flaga radziecka z sierpem i młotem. Ja mówię: - *Siostro, ale przecież to niewierzący. - Przyjdzie czas, że i oni uwierzą. I ta flaga niech tutaj będzie.* I proszę, dzisiaj tam wiele się zmieniło. Ta siostra już nie żyje, bo to była już staruszka, miała by dzisiaj sto kilkadziesiąt lat.



Od brata otrzymałem wiadomość, że mama przeżyła, że jeden z braci też w obozie siedział, w Stutthofie, wrócił i czekają na mnie. Pożegnałem się, podziękowałem braciom w klasztorze. Poszedłem do ambasady polskiej i mówię, że chcę wracać, żeby mnie zabrali. To oni mówią tak: – *Na razie pana umieścimy w obozie przejściowym i pan poczeka na transport.*

Spędziłem jedną tylko noc w tym obozie. Boże! To było piekło jeszcze gorsze, jak w tym obozie, co byłem. Różne typy, spać nie można było, pijani... Przesiedziałem noc na swojej walizce, bo nic więcej nie miałem. Na drugi dzień idę do ambasadora, nie chcieli mnie dopuścić. Mówię: – *Ja się stąd nie ruszę, dosyć pięć lat więzienia i obozu, proszę mnie odesłać do Polski!* Tam był Jurek Brahms, który pracował w Związku Młodzieży Polskiej „Grunwald”³⁰, bardzo miły pan, kulturalny, doktor. Widział to moje rozgoryczenie ogromne, doszedł do mnie i mówi: – *Panie kolego, współczuję ogromnie, jeżeli pan naprawdę nie ma gdzie... niech Pan spotka się dzisiaj ze mną, na Saint-Honoré jest zarząd główny Związku Młodzieży Polskiej, ja tam będę i postaramy się panu pomóc.* Ja mu serdecznie podziękowałem, wieczorem idę na tę całą Honoré, no i tam jest rzeczywiście grupa polskiej młodzieży, takiej starszej. Mężczyźni, kobiety. Wszystko wokół po polsku. Ogromnie się ucieszyłem. No i naturalnie, żeby im opowiedzieć o obozie. Z nimi to i piosenka, i gra, po harcersku. – *O, jak pan potrafi takie rzeczy, to my tu pana zatrzymamy. Zanim będzie ten transport, zatrudnimy pana w akcji kulturalno-oświatowej. Czy ma pan gdzie mieszkać?* Ja mówię: – *Nie mam, muszę iść do obozu, no ale przesiedzieć drugą noc...* Ten Jurek mówi: – *Ja mam kawalerkę, jestem sam jeden, ale mam tylko jeden tapczan. Jeżeli pan się nie*

30 Konspiracyjna organizacja młodzieży polonijnej we Francji. Założony w 1943 z inicjatywy polskich komunistów w celu prowadzenia działalności sabotażowo-dywersyjnej przeciwko Niemcom. Wchodził w skład Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego we Francji. W 1950 rozwiązany przez władze francuskie.

brzydzi... Ja mówię: – W obozie leżeliśmy na ziemi jeden obok drugiego. Jak można po kimś się brzydzić? Zamieszkałem u niego na jakiś czas. Bardzo życzliwy, jak brat był dla mnie. Zaprzyjaźniliśmy się. Wszystko nas dzieliło, bo i wyznanie, i narodowość, on lewicowy człowiek bardzo. Kiedyś dyskutowaliśmy do samego rana i doszliśmy do tego, że on szedł taką drogą, a ja taką, ale cel mieliśmy wspólny. Nieraz w niedzielę odprowadzał mnie do kościoła, tam polski kościół był. Żeby mi kiedykolwiek wytknął czy śmiał się. Sam ateista, narodowości żydowskiej, ale Polak, bardzo. Nie przeszkadzało to. Jak brat rodzony. List mam od niego, kiedyś odpisał.

Jak dostałem posadę i dali mi trochę pieniędzy, mówię: – Jureczku, pójdę szukać sobie kwatery. Miałem w obozie przyjaciela Musiałka, który był stolarzem, we Francji mieszkał. W 1939 przyjechał odwiedzić rodzinę w Polsce i wojna go chwyciła, dostał się do obozu. Wciąż mówił: – *Wacek, jak wrócimy, to ja cię zabiorę ze sobą, zobaczysz Francję.* Zmarł w obozie. Przypomniała mi się jego żona i córka, o której mówił, postanowiłem je odszukać. Ale nie znałem adresu. Dowiedziałem się, że gdzieś na Saint-Paul jest dzielnica polska, mieszka bardzo dużo emigrantów. Poszedłem tam kiedyś, wychodzę z metra, a tu po polsku: co na handel, co sprzedać, co zrobić. Mówią - *My nie znamy, ale tu jest knajpa polska. Jeżeli to był rzemieślnik, stolarz, to na pewno tutaj go będą znali, bo tu się Polacy zawsze schodzili.* Poszedłem, przedstawiam się, że szukam Musiałka, stolarza. – *Naprzeciwno mieszka stolarz, na pewno będzie wiedział.* Idę... pomyliłem piętra. Otwiera mi starsza pani, łamanym francuskim mówię, że szukam państwa Musiałek, że ja chcę pokój. Ona mówi, że bardzo proszę, ona ma pokoje. Wskazała rzeczywiście ładny niebieski pokój. Poleciałem do Lopeza, mówię: *Śluchaj, mamy wspomniałą kwaterę!* No i zaczęła się tam gehenna nasza. Miałem jedną walizeczkę tylko, nic w niej specjalnie nie było, on też nie miał nic w swojej. Już na drugi dzień widać, że ktoś nam w nich grzebał. Gospodyni samotna, bardzo życzliwa, serdeczna... Ale przychodzili do niej różne typy.

Cała masa różnych osób. A to jakiś tam kuzyn, a to jakiś tam znajomy i taki młody człowiek przychodził, często rano wychodził. Nie wiedzieliśmy, co to jest. Czegoś zaczęliśmy się bać. Trzeba szczęścia, że spotkaliśmy kiedyś panią, mieszkającą piętro wyżej. I ona dopiero mówi: – *Panowie, gdzie wy mieszkanie?! To jest zawodowa bandycka rodzina, jedna z najgorszych. Ona ma – mówi – dwóch synów, siedzą w więzieniu.* Gospodyni nam opowiadała, bo były w domu portrety, że jeden syn jest inżynierem, drugi adwokatem. A oni siedzieli! Mówię: – *Myśmy szukali pani Musiałek.* – *Ja ją dobrze znam, ona mieszka na boulevard Voltaire.* Pojechaliśmy na boulevard Voltaire. Żona tego pana Musiałka, córka – starsza taka już. I dopiero opowiadamy... Popłakały się. Mówię, gdzie mieszkam, co to się stało. Ona mówi: – *Słuchajcie, wy tam już nie powinniście iść, bo możecie zginąć nie wiadomo kiedy.* Ale jak wyjść z honorem? Wymyśliliśmy, że ja dostałem już papier i wracam do domu, do Polski.

Kiedy się obóz skończył, z Piotrkim Naruszewiczem, moim serdecznym przyjacielem, z którym węgiel nosiłem, myśmy się rozstali i nie wiedziałem, gdzie on pojechał. Pewnej niedzieli jestem w kościele polskim i idę do spowiedzi. Patrząc: po drugiej stronie konfesjonau siedzi Piotr. Pod słowem honoru! Boże, myśmy się w kościele chwycili, ucałowali. Krótka ze sobą byliśmy, bo on już wyjeżdżał do Włoch na studia, potem został księdzem i mieszkał we Włoszech. Korespondowaliśmy ze sobą. Nawet błogosławieństwo papieskie mi przysłał. Ale nim wyjechał, dzięki Piotrkowi byliśmy w Lourdes, bo postarał się przez naszych żołnierzy. Znał tam kapelana, wszystkich... Wykombinował nam dwa kombinezony wojskowe, zrobił z nas żołnierzy i za kilka dni byliśmy na cudownej pielgrzymce w Lourdes: Lopez, ja i Piotrek.

Byłem tam jeszcze parę miesięcy, mieszkałem u Francuzki, znajomej pani Musiałek, bardzo kulturalna pani. Miałem wspaniałe warunki, luksusowe. Pięć pokoi, wszystko miało być moje... Chciała, żebym został, że wszystko dostanę, bo ona nie ma nikogo, córka jest bardzo bogata w Hiszpanii,

że jak syn będę u niej, bo miała już około siedemdziesięciu kilkai lat. – *Komu ja to dam? A pan po obozie...* Bardzo mi współczuła. No, ale, Boże! Do matki, do braci, do domu, do Polski! Mówię, że nie da rady, będę się starał jechać.

PRACA W ORGANIZACJI „GRUNWALD”

Ale jeszcze pracowałem. Często wyjeżdżałem w teren do różnych kół polskich na wizytacje, obóz prowadziłem. Piękna praca! Zorganizowałem dwa cudowne obozy dla młodzieży polskiej we Francji. Nie zapomnę pierwszego obozu szkoleniowego dla tych, co prowadzą koła młodzieżowe, w Ardenach. Przyjechała wizytacja z Polski, taka starsza pani, bo oni, jako młodzież nasza na emigracji, podlegali pod centralną młodzieżową organizację w Polsce. A myśmy się właśnie wybierali do kościoła, jakieś półtora kilometra od nas wioska była i kościół. Prosiłiśmy, żeby się spotkała z nami po południu, jak z kościoła przyjdziemy. Dobrze, poczeka.

Narwaliśmy po drodze kwiatów na ołtarz, jeszcze parę chwil było do mszy, myśmy zaczęli śpiewać jakieś pieśni po polsku. Rozpoczyna się nabożeństwo, stoimy z tą młodzieżą naszą - trzydzieści kilka osób - przed ołtarzem i wychodzi francuski ksiądz. Idzie do ołtarza, zatrzymuje się, patrzy na mnie, ja na niego, on cofa się do zakrystii. To był kolega obozowy, Francuz, i spotkałem go w jego parafii przy ołtarzu! Rzuciliśmy się sobie w ramiona, popłakaliśmy się. Ludzie czekali, bo pewnie z piętnaście minut nam zeszło, nie wiedzieli, co się stało. A ksiądz wychodzi do ołtarza i wszystko opowiada o naszym spotkaniu, o przyjaźni naszej w obozie, o pomocy, jaką myśmy Francuzom dawali. Kazał wszystkim modlić się za Polskę. Jak myśmy wychodzili z kościoła, to ci ludzie nas pozabierali do domów swoich na gościnę. Wieczorem przyszli z nami i zrobiliśmy ognisko przyjaźni polsko-francuskiej. Już się z tą panią wizytatorką nie zobaczyliśmy.

Niezapomniane chwile, niezapomniane przeżycia. Wkrótce po tym, pierwszego września 1946 wyjechałem do Polski...

POWRÓT DO KRAJU, POCZĄTKI PRACY Z MŁODZIEŻĄ

Kiedy przyjechałem do Polski, były takie czasy, że jak ktoś z Zachodu wrócił, to krzywo na niego patrzono. Ja się trochę zdenerwowałem po powrocie. Pojechałem do Gąbina, ale nie było już tam sądu, bo przenieśli go do Gostynina. Nie miałem tam co robić, więc przyjechałem do brata, do Płocka. Naturalnie wywiad już wiedział, że ktoś z Zachodu przyjechał do niego.

Spotkałem kolegów obozowych, którzy pracowali w Cechu Rzemiosł Różnych. Jurek Kozarski, Mańkowski i prezes cechu, Kurowski, też był w obozie był. No i od razu: - *Nie masz pracy...* i mnie przyjęli. Byłem pracownikiem umysłowym, najpierw jako kancelista, a potem kierownik biura. Kiedy cechy zniesiono, była Izba Rzemieślnicza, później związek cechów. Pracowałem tam do sześćdziesiątego roku życia, czyli do 1974 roku.



Żonę poznałem pod Płockiem. Pracowałem wtedy już w cechu, wspólni znajomi, znałem jej ojca... Bardzo dobrą żonę mam. Wyrozumiałą, pracuje, żyje razem ze mną, przeżywa, stroje dla zespołu szyje... Mamy jednego syna.

Krótko po powrocie zostałem zaproszony przez młodzież gimnazjum imienia Małachowskiego, jednej z najstarszych szkół w Polsce³¹. To było spotkanie organizowane przez harcerzy, ponieważ ja całe życie jestem harcerzem. Chcieli, żeby im opowiedzieć o pobycie w obozie. Kiedyśmy sobie później rozmawiali, zapytali: – *Druhu, chcielibyśmy coś pożytecznego robić jako harcerze. Nie jesteśmy dziećmi, mamy po szesnaście-siedemnaście lat, nie będziemy się bawić w podchody. Niech druh nam wskaże, co mamy robić?* Rzeczywiście, to była młodzież już taka starsza. Powiedziałem: – *Moi drodzy, opowiem wam o czymś bardzo ważnym. O sile ducha. Zarecytowałem wiersz: Choć u nas gruzy i spalone chaty, ale przed nami słońce, bracia młodzi. Słońce, co zdejmie z nas te krwawe szaty, po dniach pochmurnych zwykle słońce wschodzi. Z wiarą do celu, przed nami świt Boży!... – No, ale co mamy robić? – To, co niematerialne w tej chwili, nic materialnego nie mamy, bo bieda po wojnie. Ale mamy bogactwo ducha, idźmy z tym do ludzi, na wieś. Zagrzewajmy ich. No i mówię, od czego zacząć: – Tu jest dom starców. Idźmy do tych ludzi, których los przygnał do przytułku. Nie mają swoich domów. Powiedzmy, że nie są sami, że jesteśmy razem z nimi! Przynieśmy im trochę radości.* No i zaczęło się. Szczepek na harmonii zagrał, obecny ksiądz doktor Rutowski³² pięknie mówił wiersze, jeszcze ktoś

31 Założona w 1180 jest najstarszą z nieprzerwanie istniejących w tym samym miejscu szkół w Polsce i jedną z najstarszych w Europie; od 1921 nosi nazwę Liceum Ogólnokształcące im. marszałka Stanisława Małachowskiego. Wznowiła nauczanie już w połowie kwietnia 1945, a na początku września 1946 powstał tu Krąg Starszoharcerski zawierający w sobie Harcerską Drużynę Artystyczną, z której wywodzi się Harcerski Zespół Pieśni i Tańca „Dzieci Płocka” założony i prowadzony przez hm. Wacława Milke.

32 Ks. infułat dr Tadeusz Feliks Rutowski ur. 1929 w Płocku, członek pierwszego pokolenia Harcerskiej Drużyny Artystycznej, Małachowiak, święcenia kapłańskie przyjął 23 sierpnia 1953 w Pieniężnie. Przez wiele lat wykładał filozofię w Wyższym Seminarium Duchownym w Płocku, którego był prorektorem oraz rektorem. Pełnił także funkcję wikariusza biskupiego ds. formacji duchowej księży. Jest prałatem archidiaconem Kapituły Katedralnej Płockiej.

coś powiedział, ktoś zaśpiewał. Zrobiliśmy na kolanie program. Dzwonimy do dyrektorki tego domu starców: - *Jesteśmy drużyną harcerską w Małachowiance, czy możemy odwiedzić mieszkańców pani domu?* Ona mówi: - *Barczo chętnie, cieszę się ogromnie!* Zachodzimy całą grupą, po południu, było nas kilkanaście osób. Już na nas czekali. Przedstawiliśmy się, kim jesteśmy, śpiewamy różne piosenki i cały ten program przedstawiliśmy. Zwróciły na nas uwagę dwie panie - jeszcze je widzę dzisiaj - pięknie ubrane, w czarnych sukienkach z koronką, tylko już te sukienki zniszczone, stare. Okazuje się - były właścicielki ziemskie. Miały majątki, a znalazły się w domu starców, w przytułku. Potem taki starszy pan, niewidomy. Kiedy się skończył nasz program, on zabrał głos. - *Dziękuję, żeście przyszli. Ja tego nie widzę, ale czuję waszą młodość. Powiedzcie szczerze, czy wam ktoś kazał przyjść, czy przyszliście od serca? Bo my uważamy, że wszyscy już o nas zapomnieli.*

Kiedyśmy wyszli stamtąd, to przez jakiś czas wszyscy jakby zamarli. Jedno do drugiego nic nie mówiło. Kiedyśmy się rozchodzili, mówię: - *Patrzcie, co robi pieśń, wiersz, serce. Mieliście dowód. Poświęćmy się tej pracy. Nic więcej nie mamy, ale jest tyle piękna. Idźmy do ludzi z piosenką, że choć ciężko, ale musi być lepiej. Przecież to od nas zależy.*

POWSTANIE ZESPOŁU

Tak się zaczęło. Przyszedł karnawał i myśl: pobawmy się. Ale żeby nasza zabawa była przyjemna, więc kostiumowa. Poprzebieramy się. Za co? Żeby to miało sens, nie było bezmyślne, żebyśmy się sami bawili, a przy nas inni. Opowiadałem, co to są zapusty, jak to od chaty do chaty, od dworu do dworu chodzono ze śpiewaniem, graniem, bawiono się, żegnając karnawał. I my też karnawał pożegnamy, tylko będziemy jechali nie od chaty do chaty – od dworu do chaty, od chaty do dworu. Tak jak w 3 maja: chłop się zbrałał z panem. Jedna jest Polska, jednak walczyli nasi ojcowie i dziadowie za nią. Więc najpierw będziemy tutaj zabierali do zabawy, a później pojedziemy do stolicy, do Warszawy, choć głodno i chłodno. I co mamy, tym się będziemy dzielili. Bidnie to bidnie, ale od serca. Zrobimy piękną zabawę kostiumową, a jednocześnie pozdrowimy wszystkich, jak tylko będziemy mogli, z różnych krajów. Podzielimy się na pary – ty bierz czeską, francuską, będzie grecka, będzie taka. – *Druhu, ale jaki strój? – Nie wiem, szukajcie sobie, kombinujcie. Jakiś taniec, piosenka... Nie będzie autentycznych, ale kto będzie wiedział, po jakiemu ty powiedziałeś? Ludzie nie znają tych języków. Co powiesz, będzie dobrze, byle udawało. To przecież zabawa.*

I rzeczywiście, był bal kostiumowy, piękny, u nas w szkole numer 1. Wielka sala gimnastyczna, zaprosiliśmy i gospodarzy miasta, i przyjaciół, i rodziców. Zaczęło się: *Kuligiem, kuligiem, w mięsopusty owe, przejedziemy całą Polskę, a choćby połowę. Kuligiem, kuligiem od dworu do chaty przejedziemy kraj nasz cały żyzny i bogaty. Krakowiak, kujawiak – cośmy potrafili, to była Polska. Gdzie dalej jedziemy? Po Europie: Kuligiem, kuligiem najpierw do sąsiada, braci naszych z czeskiej Pragi odwiedzić wypada. Krąg się robi, wpada para czeska: Nazdar! Nazdar! i czeska piosenka idzie. Zabieramy ich*

do naszego grona. *Kuligiem, kuligiem, gdzie Dunaju wody, zobaczymy, jak czardasza tańczy Węgier młody. Zabieramy ich i znów: Kuligiem, kuligiem...*



To już przeszło sześćdziesiąt lat minęło, wiele zapomniałem, w każdym bądź razie byliśmy i w Moskwie, i na Ukrainie, czego to nie było! A najważniejsze: młodzież pracowała sama, po kryjomu i to było po raz pierwszy pokazane, bo nie było reżyserowane jako całość. Dla samych wykonawców było to wszystko ciekawe. Kończyło się pięknie, że wszystkich zabieramy do Warszawy i pokazujemy im ruiny miasta. I tu podajemy sobie ręce, żeby już nigdy ludzkość nie przeżywała tego, co myśmy przeżywali. Dzisiaj – po tych

sześćdziesięciu latach – my byliśmy już autentycznie w tych wszystkich krajach, zaprzyjaźniliśmy się z ludźmi, których kiedyś przedstawialiśmy, bośmy byli w dwudziestu siedmiu krajach już, ostatnio w Japonii.

Będąc młodym chłopakiem, podpatrywałem wesela. Kiedyś wesele to był teatr. Kiedy młodzi szli do ślubu, to drużny śpiewały: *Siadaj, Maryś, na wóz...* Chłopak przychodził: *I welonik załóż, jam po ciebie przyjechał. Czy ty nie masz woli, czy cię główka boli, czy ci ojca, matki żal?* A potem wszystkie drużny: *Przeżegnaj ją, matko, prawą ręką na krzyż, bo już ostatni raz na jej wianek patrzysz.* Ona klęka, matka ją błogosławi i potem: *Przeżegnaj ją ojcie do trzeciego razu.* To był teatr, grany kiedyś jako autentyczne przeżycia naszego ludu wiejskiego. I my to dzisiaj przenosimy na scenę.

Nie zapomnę, jak na ulicach Paryża nasza młodzież tańczyła krakowia-ka ze smokiem, lajkonikiem, jak tłumy ludzi krzyczały: *Vive la Pologne! Vive la Pologne!* Teraz niedawno byliśmy w Niemczech.

Śpiewamy w języku kraju, do którego jedziemy. A jedziemy tam, szukając przyjaciół. To nie jadą artyści, którzy pokażą tylko swój kunszt. To jadą z piosenką, z tańcem, młodzi, otwarci ludzie. W którym kraju jesteśmy, to z tego kraju zabieramy też piosenkę, którą później śpiewamy. Ona nie zna granic. My mamy taką piosenkę: *Przyjaźń łączy nasze kraje, więc poznajmy się nawzajem, dla nas nie ma żadnych granic, niech nas łączy pieśń i taniec.* Bawimy się ich zabawą, ich piosenką, naszą piosenkę dodajemy, wciągamy nieraz ludzi do różnych zabaw. Znamy i bułgarskie, i jugosłowiańskie, i serbskie czy inne. To musi wypływać z serca, to nie jest tak, że wyjdę na scenę, odegram swoje i poklaszczą mi.

Marzenia spełniły się. Dziś nie potrzebujemy przebierać się w ich stroje, bo oni przyjeżdżają do nas, my do nich. Rodzi się przyjaźń i spełniają się marzenia, żeby wszyscy ludzie byli braćmi. Wszyscy mamy serca, odczuwamy miłość, głód, radość. To poczucie braterstwa było celem i cieszymy się ogromnie, że te marzenia zaraz po wojnie, oj... dziadków – bo oni dziś mają

po siedemdziesiąt kilka lat – spełniły się i czynią to ich wnukowie, już nie dzieci. I to jest to piękne, i to jest ta radość życia. I dlatego dzisiaj, będąc już u schyłku życia, apeluję: wy, młodzi, musicie nas zastąpić, nie możecie zmarnować tego, co wam przekazujemy. Nie chcemy dewotów, chcemy ludzi z otwartymi sercami. Macie budować ten cudowny, piękny świat, macie wyciągnąć ręce do wszystkich i wspólnie, gdziekolwiek jesteście, szukać człowieka. Jeżeli zobaczymy w obcym człowieka, to ten świat będzie piękny. Wierzę głęboko, że chociaż my już odchodzimy, ci, którzy przeszli cierpienia wojenne... Nie mam żalu do nikogo. Kocham wszystkie narody, wszystkie one mają prawo do życia, tylko niech w każdym społeczeństwie, w każdym narodzie człowiek będzie człowiekiem. Wtedy będzie pięknie, radośnie.

Ktoś powie: utopia. Nieprawda. Nam – więźniom obozów – te czasy pokazały, że nawet tam można było żyć i wzajemnie sobie pomagać.

Dlaczego nie możemy w dobrobycie dzielić się tym, co mamy? Nie wiem, może my, starzy, już inaczej myślimy, ale tam, gdzie jest serce, tam jest i radość, i piękno, i dobro. Radośnie tam się żyje.

TRUDNOŚCI

Dzień w dzień było tak: ósma godzina – do pracy, do trzeciej; szybko, na kolanie obiad i od czwartej do ósmej z młodzieżą, z dziećmi. Czasami było nieprzyjemnie pracować w tych czasach powojennych. Nie było patriotyzmu, tylko internacjonalizm. Musiałem wszystko mieć ocenzurowane. Jest piosenka: *Płynie Wisła, płynie, po polskiej krainie, a dopóki płynie, Polska nie zaginie* – w tamtych czasach to śpiewać, to była odwaga.

Młodzieży nie zmuszałem i nie zmuszam do praktyk religijnych, absolutnie. Ale jeżeli mi rodzice powierzyli dziecko i proszą na przykład, żeby na kolonii chodziło do kościoła, to musiałem wtedy wziąć instruktora, bo nie puszczałem dziecka samego. A że szły prawie wszystkie dzieci, to musiałem dwóch czy trzech instruktorów wysłać. I kiedy byłem wezwany do Warszawy na spotkanie w tej sprawie, powiedziałem jasno, jaka sytuacja jest. Wytłumaczyłem, że nikt nikogo nie zmusza, ale jeżeli rodzice sobie życzą, ja muszę opiekę dać. A że ja chodzę do kościoła, to jest moja sprawa. Jako chłopak czternastoletni przyrzekałem całym życiem służyć Bogu i Polsce, przeszedłem piekło i, wierząc w Boga, wróciłem, to jak ja się mogę teraz wyrzec swojej wiary? Niech uszanują moje przekonania, a jeżeli jest przeszkodą, że chodzę do kościoła, to ja się zrzekam, proszę bardzo. Chcę być w zgodzie z sumieniem, bo jeżeliby mnie coś zabolowało, to ja bym dostał nerwicy, że jestem ukarany przez Boga: jak mnie potrzebowałeś, to do mnie szedłeś, a dziś mnie zostawiasz dla kariery. Wtedy powiedziano: *Proszę wracać i spokojnie pracować, dziękujemy za szczerość*. I dano mi spokój. Nie naciskano, żebym wstąpił do partii³³, absolutnie. Nigdy do partii żadnej nie należałem i nie należę.

33 Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, partia komunistyczna niepodzielnie sprawująca władzę w Polsce w latach 1948-1989.

Ze strony partii czy władz miasta nie miałem nacisków. To byli ludzie, którzy rozumieli moją pracę. Tu nikt polityki nie uprawia. We wczesnych latach osiemdziesiątych, w czasie stanu wojennego, myśmy cały czas pracowali. Mielśmy zezwolenie, myśmy w tym czasie nawet do Belgii pojechali.

Po osiemdziesiątym dziewiątym roku dla nas nic się nie zmieniło, to samo robiłem przedtem, co teraz. Jestem przekonany, że zawsze trzeba uszanować zasadę: co boskiego - oddaj Bogu, co cesarskiego - cesarzowi. I nic więcej. To mi pozwoliło przez całe życie - obóz, okres PRL-u i teraz - ocalić moje ideały.

EMERYTURA

Sam sobie się dziwię, że pan Bóg mi daje tyle siły. Urlop to kolonie, obozy z młodzieżą. I proszę mi wierzyć, szczerze mówię, mam poczucie, że każdy dzień jest mi darowany od Boga. Mam osiemdziesiąt osiem lat. Za dwa lata - dziewięćdziesiąt. Ludzie mogą się dziwić, że tu w zespole wciąż pracuję, a ja tu odpoczywam. Cieszę się, że po mnie zostają materiały, ja to wszystko stworzyłem. Tyle teczek scenariuszy programów, to człowiek przekazuje tym młodym. Cieszę się, bo ci, co mnie tu zastępują, to wszystko moi wychowankowie, którzy pokończyli studia wyższe. Obecny dyrektor to jest mój wychowanek, który od dziecka tu był. Syn jest inżynierem rolnictwa, ale już jako mały dzieciak wszystko zbierał, odkładał, żona awantury nieraz robiła, bo to bałagan w domu. A dzisiaj dzięki niemu jest piękna izba tradycji, która obrazuje historię zespołu od czterdziestego szóstego roku: cała masa dokumentów, zdjęć, pamiątek. Nieraz są drogocenne, każda o czymś mówi. Dwóch wnuków jest w zespole, jeden przyszedł malutki, miał sześć lat. Dziś ma dwadzieścia trzy lata i jest cały czas. Czasem, jak grupa przychodzi do naszej izby tradycji, siadają wszyscy, są gawędy, młodzież bardzo chętnie słucha. Bywa, że opowiadam też wtedy o moim pobycie w obozie. Nie zapomnę nigdy, jak byliśmy na takim spotkaniu w Żychlinie. Błagali, żeby przychodzić jeszcze do nich, odprowadzili nas na dworzec. To pokazuje, że młodzież potrzebuje szczerości, prawdy i nie udawania bohaterstwa, ale mówienia, jak życie wygląda i jak trzeba być silnym, żeby przez nie przejść.

W siedemdziesiątym czwartym roku, kiedy skończyłem pracować w cechu, poświęciłem się tylko zespołowi. Dzięki temu mogłem zorganizować całą masę różnych akcji ogólnomiejskich. Współpracujemy ze wszystkimi szkołami, mamy takie kręgi przewodniczących samorządów uczniowskich,

opiekunów samorządów, spotykamy się tutaj, ustalamy międzyszkolne imprezy, współpracę między szkołami.

Mamy w Płocku Dzwon Pokoju. Kiedy obchodziliśmy pięćdziesięciolecie wybuchu wojny, młodzież ze wszystkich szkół, dwadzieścia cztery tysiące osób, rzuciła się po parę groszy i w miejscu, gdzie rozstrzelano trzynastu Polaków, postawiliśmy Dzwon Pokoju. Jest na nim dewiza: Chleb – Pokój – Wolność. Ten dzwon uderza w dniu, kiedy maturzyści idą ostatni dzień do szkoły. Żegnają się z dzwonkiem szkolnym, bo na studiach nie będzie już dzwonek. Biorą ze sobą w dorosłe życie echo tego dzwonu: mam zapracować na chleb, mam dbać o pokój nie tylko w moim sercu, ale i w moim domu, w moim mieście, w moim kraju, pokój na świecie. I muszę być wolnym człowiekiem, muszę żyć w wolnym kraju. Te wyzwania biorą z sobą w dalsze życie. Cudowny jest ten apel. Co roku inna szkoła go organizuje, sami go prowadzą, uderzają w dzwon. Maturzyści to przeżywają niesamowicie.

Mamy też Dni Historii Płocka przygotowywane przez młodzież co roku. Dzień – dwa dni poświęcone tysiącletnim dziejom naszego miasta. *Tu Krzywousty zbroił swój huf..* I tam oni mówią wtedy: *Stąd Piastowice młodzi pędzili na łów, stąd Bolko wyruszał, by bronić naszych pól i chat, tu zaciągamy dziś strażę – dziedzice dawnych lat. Niech zabrzmie pieśń z piastowskich gniazd i chat, stajemy na ojców zew, dziedzice dawnych lat.*

Śpiewają: *Pamiętaj mury Płocka dzieje królów sławnych, czyny wojów i rycerzy, książąt starodawnych. Pamiętaj zamków wieże czasy dawnej chwały i historię lat minionych wiernie zachowały.* Tego dnia odbywa się zawsze pasowanie Bolka na rycerza, takie widowisko. Od przyszłego roku chcemy też organizować spektakl typu światło-dźwięk, w najstarszej szkole nie tylko w Polsce, ale w Europie, w Liceum Małachowskiego. Te stare mury przemówią tego wieczoru głosem wielkich Polaków z naszych dziejów. No, żyjemy czymś, żeby się nie nudzić. Raz w miesiącu mamy Wieczory Pieśni. Przychodzi wtedy stu pięćdziesięciu starych ludzi, emerytów, nauczycieli,

dostają słowa piosenek, śpiewają: i dawne pieśni, i dzisiejsze... cudowne to są wieczory. Już czwarty rok je prowadzimy. Tak że ten zespół, to nie tylko dzieci, ale cała masa różnych akcji. My, byli więźniowie, kombatanci idziemy do grobu, ale chcemy młodzieży zostawić testament. Mamy biało-czerwony, nie zszywany, tylko specjalnie tkany w Bielsku-Białej proporzec. Od góry do dołu na drzewcu są srebrne i złote gwoździe, symbolizujące miejsca, gdzie Polak się bił. I jest księga podpisana przez uczestników różnych walk... cała masa z nich już nie żyje. Kiedy obchodziliśmy pięćdziesięciolecie wojny, ci weterani przekazali młodzieży swój testament. Nauczycielka, pani Bojanowska, więźniarka Ravensbrück, powiedziała wtedy w imieniu nas wszystkich: *Młodzieży droga, dźcierście ten proporzec biało-czerwony w swych krzepkich dłoniach. I pamiętajcie, cokolwiek się zdarzy, los ojczyzny to także wasz los!* Ten proporzec ma być pomocą w nauce, ma mobilizować i wciąż przypominać, że oni ten kraj wezmą kiedyś w swoje ręce. Młodzież nosi go na ważnych uroczystościach. Co roku pierwszego września przekazywany jest innej szkole. Dziś ma go szkoła numer 15. Szkół jest czterdzieści, czyli ostatnia otrzyma proporzec za dwadzieścia pięć lat. I odda znów szkole numer 1.

Do trzydziestego dziewiątego roku była taka tradycja, że prymusi najlepiej zdający maturę w Małachowiance wpisywali się do Księgi Chwały. Myśmy tę tradycję odnowili, z tym, że rozszerzyliśmy ją na wszystkie szkoły średnie i maturzyści, którzy zdają maturę najlepiej, wpisują się do Księgi Chwały na ratuszu. Jest cała ceremonia, są ich koledzy maturzyści i przedstawiciele instytucji, jest prezydent miasta. Uroczystości towarzyszy wystawa „Portrety Płocczan” – to są naukowcy, którzy wyszli z naszych szkół.

Poza tym mamy hejnał Płocka, bardzo ładny. Tadek Boetzel – płocczanin, mieszka teraz w Warszawie – napisał piękne słowa do tej melodii, więc od przyszłego roku cały Płock będzie śpiewał: *Płock, grodzie nasz, z Tumskich Wzgórz trzymasz straż, grodzie nasz. Patrząc w Wisły toń ty trwasz, ty trwasz.* Chcemy, żeby ludzie nie byli tylko odbiorcami, żeby też uczestniczyli.

WSPÓLNOTA BYŁYCH WIĘZNIÓW

Z kolegami, przyjaciółmi z obozu, żyjemy jak bracia. Dzwonimy do siebie, spotykamy się kilka razy do roku, mamy swój opłatek. Czy ten z Warszawy, czy Jurek Wendel w Wiedniu, czy Stasiu Dobosiewicz, czy Nowicki, Pilarski... Rodziny nie żyją taką szczerością jak my. Tyle lat minęło, a czy święta, czy nie święta, to telefony się urywają. Bez nakazu. Już w obozie napisał ktoś: *I nie rozłączy nas żadna siła, bośmy się zwarli jak lodowe bryły, wtedy gdy ziemia nam stopy paliła i kiedy z bólu pękały nam żyły.* Zawsze 11 Listopada robimy uroczystość, przychodzą przedstawiciele szkół.

Z kolegami z Zachodu musieliśmy zerwać [wkrótce po wojnie], bo jak ktoś korespondował z zagranicą, to UB³⁴ podejrzewał zaraz o szpiegostwo. Dobrze, że miałem znajomych, którzy mi powiedzieli – bo to i na pocztce, wszędzie byli ci z UB – *Słuchaj, interesują się, że za dużo masz kontaktów...* Musiałem zerwać wtedy korespondencję z przyjaciółmi.

Komplikacje były po tym obozie, nerwica dosyć duża. Wspomnienia wracały, to było okropne, dlatego mam orzeczone inwalidztwo drugiego stopnia. Przez pierwszych kilka lat krzyczałem w nocy. Śniło mi się, że mnie gonią, a ja nie mogę uciekać. Nerwy straszne. Jeszcze czasami, jak patrzę na film jakiś wojenny, to w nocy krzyczę. Słyszę to, a nie mogę się obudzić. To zostało...

34 UB, Urząd Bezpieczeństwa, bezpieka – potoczne określenie organów bezpieczeństwa państwa w okresie stalinowskim, od 1956 przemianowanych na Służbę Bezpieczeństwa, rozwiązanych w 1990; zajmowały się tropieniem agentów, szpiegów, dywersantów, a przede wszystkim zwalczaniem opozycji, byłych AK-owców i wszelkich przejawów niezależności; odpowiedzialne za masowe krwawe represje w okresie stalinizmu.

W Mauthausen byłem po wojnie dwa razy. Raz zawiozłem tam młodzież z zespołu, pokazałem, gdzie przebywałem. Potem też z zespołem koncertowałem tam, śpiewaliśmy te pieśni obozowe, które opracowano, żeby nie zaginęły. Taka piękna na przykład: *Golgota moja, granitowa skała, pierś twoją codziennie rwie tysiące rąk*.³⁵ Albo: *Śniła mi się nasza wioska, mazowieckie nasze piaski...* Chodziło mi o to, żeby młodzieży powiedzieć: ludzie tam ginęli, ale patrzcie, co tworzyli, jaka to była radość. Oni tych pieśni się nauczą, żeby nie poszły w zapomnienie. Żeby pamiętać o sile ducha, że ludzie nawet w chwilach głodu i męki – śpiewali. Pieśń im łzę wyciśnie i dumę wznieci. I przeniesie myślą wstecz i naprzód. Ona jest potrzebna, od urodzenia do śmierci człowieka idzie z nim pieśń.

35 Pieśń powstała w Gusen, autorem słów jest pochodzący z Sosnowca poeta Konstanty Cwierk, muzyki - Gracjan Guziński. Wedle wspomnień obozowych kolegów Golgotą Jan Cwierk nazywał górę Kastenhof, na której pracowali w kamieniołomie. Zmarł w obozowym szpitalu, w sierpniu 1944.

O PRACY Z MŁODZIEŻĄ

Skończyłem tylko szkołę średnią, a wyższą robiłem potem już korespondencyjnie. Miałem egzamin z Ministerstwa Oświaty, bo pracowałem jako instruktor i poświęciłem się pracy nauczycielskiej – zespół, który prowadziłem, to jest jedna z form pracy pozaszkolnej. Nie mogliśmy się rozwinąć – z uwagi na warunki – w różnych dziedzinach nauki, więc rozwijaliśmy się w kierunku artystycznym: poezja, pieśń, muzyka, małe formy, żywe słowo. To, z czym mogliśmy się pomieścić w lokalu, jaki mieliśmy.

Ja kocham wszystkich. Ktoś powie: o, to jest niewłaściwe. Właściwe! Kłaniasz się przed krzyżem, proszę bardzo, kłaniasz się przed półksiężycem, proszę bardzo, to jest twoja wiara, nie można jej ośmieszać, lekceważyć czy wyszydzać. Byłem z dziećmi w dawnej Jugosławii, zwiedzaliśmy meczety. Jak wchodziliśmy, to kazałem buty dzieciakom zdjąć. Przyjechał ten ich, ta osoba duchowna: – *Założcie buty.* – *Nie, to jest wasza religia, my musimy to uszanować.* – *Kto wy?* – *Polaki.* A on myślał, że nam buty ukradli! Wiara mojżeszowa czy buddyzm, czy protestantyzm – przekonania każdego trzeba uszanować. Uszanuj moje, a będę szanował twoje. Młodzież nasza z zespołu tak jest chowana cały czas. Tak powinno być w życiu i tak się wychowuje – uszanuj każdego człowieka.

Proszę dzieci, gdziekolwiek jadą i będą występowali: Pamiętaj, ty jesteś nie Józkiem Guzińskim, tylko Polakiem. Reprezentujesz swój kraj. Kiedy byliśmy w Luksemburgu i żegnaliśmy się z dyrekcją szkoły zawodowej, która nas gościła, mówimy: – *Zazdrościmy wam tych warsztatów cudownych, że młodzież ma takie wspaniałe warunki.* A oni mówią: – *Zabierzcie sobie te maszyny, dajcie nam waszą młodzież!* I to jest chluba dla Polski. I tak samo było, kiedyśmy byli w Japonii. Cesarz przyjeżdża teraz do Polski z żoną i nasze dzieci będą przedstawiały przed nim program.

Byliśmy w Niemczech w zeszłym roku, nasza wychowanka jest tam lekarzem, z mężem mają prywatny gabinet. Nieźle im się powodzi, ściągnęła nas na swój koszt, postarała się o sponsorów różnych. Nie tylko, że myśmy koncertowali, zwiedziliśmy Niemcy, ale jeszcze po Szwajcarii nas obwoziła. Tak jest związana z zespołem, że to jest jej drugi dom. Ma możliwości, więc chce tym dzieciom pomóc. Ona nie miała wyjazdów zagranicznych, bo to powojenne czasy były, to chociaż dzisiaj tej grupie pragnie dać radość. Tę chęć dzielenia się wyniosła z zespołu.

Kiedy widzę, że ta praca przynosi owoce, że młodzież się zmienia, otwiera dla ludzi, mam ogromną radość. Ja wtedy nawet nie czuję, jak zaboli mnie coś. Jeszcze trochę potrzebny tu jestem. Jeszcze im cośkolwiek powiem. Na przykład na obozach u nas rozpoczynamy zawsze dzień i kończymy modlitwą. Proszę bardzo, jeśli ktoś nie chce, to może na boku stanąć, nie będziemy się gniewali.

Śpiewamy *Kiedy ranne wstają zorze, Tobie ziemia, Tobie morze, Tobie śpiewa żywioł wszelki, bądź pochwalon, Boże wielki*. Młodzież bardzo poważnie to traktuje. Trzecią zwrotkę mówi zawsze grupowy, który ma dyżur. Cisza. I on mówi:

*A człowiek, który bez miary,
Obsypany Twymi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
A czemuż by Cię nie chwalił?
Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam,
Do mego Boga na niebie,
I szukam Go wkoło siebie.*

Dopiero wszyscy: *Wielu snem śmierci...* Solista to zawsze jest chłopak, który ma już te siedemnaście lat, bo to jest grupowy, starszy. Oni wiedzą,

że to nie jest odklepanie czegoś, to jest zatrzymanie się nad samą istotą modlitwy. Kiedy robimy wieczorem dobranoc, jest cisza, to nikt się nie śmieje, śpiewamy *Idzie noc*, potem mormorando: *mmm...* I to nie jest mruczenie tylko, bo oni sercem są w domu, chociaż są sto, dwieście kilometrów od domu, ale w tej chwili łączą się duchowo ze swoją najbliższą rodziną, oni się żegnają: dobranoc, mamo; dobranoc, tato. Kończy się pieśń, rozchodzą się i idą spać w ciszy. Ten romantyzm trzeba wprowadzać nie nakazami... Oni muszą w to wierzyć.

PRZESŁANIE

Ja ukochałem tę pracę. Całe życie temu poświęciłem. Żaden uniwersytet, żadna szkoła nie dałaby mi tego, co mi dało życie. Miałem możliwość zwiedzić dwadzieścia kilka krajów... i miałem możliwość zobaczenia piekła na ziemi. I wszędzie, zarówno w dobrobycie, jak w piekle musi być człowiek człowiekiem. Kromką chleba, którą masz, podziel się z drugim.

Jestem zwykłym szarym człowiekiem. Nie mam doktoratów uniwersyteckich. A jednak ta praca zaprowadziła mnie na dwór królewski w Londynie, księżna Anna przyjmowała nas, papież, będąc tutaj w Płocku, nas oglądał, w dwudziestu siedmiu krajach byliśmy. Bogu dziękuję, że moja skromna robota poszła w tak wysokie progi.

Cóż wam powiedzieć - przede wszystkim młodym? Macie być normalnymi ludźmi. Cieszyłbym się, gdybyście byli wszyscy bogaci, żebyście mieli wszyscy jak najwięcej pieniędzy. Ale żebyście pamiętali, że ten pieniądz musi wam służyć pomocą, być środkiem, a nie celem. Celem jesteście wy. Taka będzie Polska, taki świat - jak wy. Życzę wam pogody ducha, siły ducha i tego, co się nazywa piękno życia.

Spis treści

PRZEDMOWA	5
DOM RODZINNY, DZIECIŃSTWO	7
WYBUCH WOJNY, ARESZTOWANIE	11
OBÓZ PRZEJŚCIOWY W SZCZEGLINIE	13
OBÓZ KONCENTRACYJNY DACHAU	15
MAUTHAUSEN-GUSEN	17
PRACA	19
HARCERZE	25
RELIGIA ZA DRUTAMI	27
CHODZONY UNIWERSYTET, KONCERTY	33
LISTY	37
RUCH OPORU W OBOZIE	39
BRATERSTWO	41
WYZWOLENIE	43
WYJAZD DO FRANCJI	47
PRACA W ORGANIZACJI „GRUNWALD”	53
POWRÓT DO KRAJU, POCZĄTKI PRACY Z MŁODZIEŻĄ	55
POWSTANIE ZESPOŁU	59
TRUDNOŚCI	63
EMERYTURA	65
WSPÓLNOTA BYŁYCH WIĘŹNIÓW	69
O PRACY Z MŁODZIEŻĄ	71
PRZESŁANIE	75